

DZIS! JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOLECZNY

Rok IV

Warszawa, 4 lipca 1948 r.

Nr 27 (136)

TREŚĆ NUMERU: T. Dworak — Poezje. J. Nowak-Dłużewski — Książka podworska kielecczyzny. Z. Lichniak — Kiedy krytyk przestaje być uczciwy? K. Z. Skierski — Szczenięta. J. Dobraczyński — Książka na tydzień. Fi m. Z. Stefanowska — Książka o „pocie i sztukmistrzu“. Przegląd prasy literackiej. Listy do Krystyny. Tydzień kulturalny. Nabyć, czytać, nie czytać?... W. Pietrzak — Lot jaskółek. Czytelnik uważa, że... Wędrowki po scenach polskich.

Paweł Jasienica

BLOKI OŚWIĘCIMIA

Jeszcze na początku roku zdarzyło mi się zwiedzić Oświęcim. Był jeden z tych przykrych, beznieżnych dni zimowych, kiedy mroźny wiatr miecie ludziom w oczy dokuczliwy, kłujący pył. Pomarził mi sobie tego w ciężarówce, którą jechaliśmy z Krakowa. Szybko, biegiem prawie, zwiedzaliśmy lager.

Tyłu już u nas o nim pisało! Temat ten zresztą należy do rzędu spraw, które nieustannie wracać będą na łamy czasopism. Myślę więc, że zamiast opisywać zawartość muzealnych dziś bloków obozu, — wolno mi zwrócić uwagę na życie osiedla ludzkiego, któremu światowy rozgłos jego nazwy nie przyniósł korzyści ni sławy.

Ogrom tragedii więźniów obozu oświęcimskiego przyćmił zupełnie wojenną niedolę miejscowej ludności. Potraciła ona swe domy, zburzone w części miasta leżącej po lewym brzegu Soły, potraciła grunta, zajęte pod lager lub fabrykę we Dworach. W ocalałej, prawobrzeżnej części Oświęcimia Polacy słodzeni zostali w gorszych mieszkaniach, gdyż lepsze zajęli Niemcy. Wojna dawno minęła, ale nie skończyła się bieda tutajszych mieszkańców. Po polach, w pobliżu centralnego obozu oraz po drodze do Birkenau widuje się nędzne, byle jak i z byle czego sklecone budy. Bytują w nich miejscowi, zamożni ongi gospodarze. Słyszałem, że w Hoermentzach ludzie gnieźdzą się w dawnych SS-mańskich kurnikach.

Mówi się dziś wiele i pisze o muzeum oświęcimskim. Ma ono objąć całość dawnego obozu, który powinien pozostać w stanie, o ile to tylko możliwe, nienaruszonym. Jakiegokolwiek zapadną decyzje i rozstrzygnięcia pamiętać trzeba, że lager wznosi się na gruntach odebranych przez Niemców polskiemu chłopu. Najprostsza sprawiedliwość wymaga by chłop ten otrzymał jedno z dwojga: ziemię z powrotem, albo pełne odszkodowanie. Im prędzej to się stanie tym lepiej. Bo po co ludzie mają się dręczyć i biedować?

Z przyłagrowych terenów przez most na Sole skręcamy ku miastu. Ten most to jest też swego rodzaju historyczny obiekt. W styczniu 1945 roku żołnierze sowieccy zdziwili się tutaj bardzo. Szli przeciwko ustępującym Niemcom od samego Stalingradu, a po raz pierwszy od lat dwóch zdarzyło im się zobaczyć cały i nienaruszony most.

Miasto Oświęcim liczy 8.500 mieszkańców. Osiem tysięcy żyje na własny koszt, pięćset osób zaś pozostaje na utrzymaniu „Caritasu“ i Opieki Społecznej. Nie wiem jak to jest w tej chwili, ale wtedy kiedy zwiedzałem Oświęcim opowiadano mi, iż ludności dokuca brak chleba. Bywały dni i tygodnie, że

go nie dowożono. Nie ma i już! Budżet miasta wynosi 6.000.000 rocznie. Budżet tamtejszych salezjańskich zakładów wychowawczych — 3.000.000 miesięcznie. Tak to tam jest.

Owe salezjańskie zakłady wychowawcze — będące najbardziej żywotnym i zarazem najciekawszym centrum w Oświęcimiu — istnieją od dawna. Pierwsi salezjanie przybyli tu w roku 1898. Rozpoczęli oni zaraz prace przygotowawcze. W dwa lata później, w roku 1900, uruchomiono zakłady. Powstał ogromny, nieustannie rozbudowywany kompleks gmachów. Dziś tutaj, w tych budynkach oraz w 10 po SS-mańskich blokach za rzeką, mieszczą się następujące szkoły i zakłady: gimnazjum elektryczne, meblarskie, stolarskie, ogólnokształcące, dwuletnia średnia szkoła rzemieślniczych budowlanych dla dorosłych, internat, sierociniec (którego wychowankowie uczą się w publicznej szkole powszechnej), świetlica dla dzieci z miasta. Razem kształci się tu i wychowuje kilkuset chłopców, pochodzących z najrozmaitszych dzielnic Polski. Zwiedzałem ich sale mieszkalne, jałdnie, klasy. Rozmawiałem z uczniami. Ot tak — rzędem przy stole siedzą chłopcy z Sokołowa Podlaskiego, Zakopanego, Krakowa, Białej itp. Rozmałość bardzo cie-

kawa i nad wszelki wyraz pożyteczna. Uczniowie płacą za naukę i utrzymanie ile kto może (za tych ze szkoły budowlanej płaci państwo). Liczna grupa uczniów — no i naturalnie sierociniec — nie płaci ani grosza.

Oglądałem warsztaty gimnazjum mechanicznego. Przy skomplikowanych nowoczesnych aparatach pracowali wiejscy chłopcy. Ciekaw jestem czy ich dziadkowie i ojcowie mieli kiedy w ręku jakąkolwiek maszynę?

Napisałem, że zakłady salezjańskie są najbardziej żywotnym i najciekawszym centrum miasta Oświęcimia. Ale tak mi się zdaje, że podobny kompleks szkół i w Warszawie by imponował. Łatwo powiedzieć, że szkoły istnieją i są w ruchu, trudniej — wszystko po wojnie na nowo uruchamiać, szkować, latać, odbudowywać.

Niemcy szkoły te zlikwidowali, sam zaś gmach obrócili na szpital i kino. Wszystko tu zostało przeznaczony, dostosowany do niemieckich zapotrzebowań. Przedwojenne urządzenia Niemcy wywieźli. Nasyłano tu specjalnych inspektorów, którzy weszli za łupem. Znaczna ilość maszyn poszła do lagru. Rewindykowano stamtąd — jedną tołkarę.

Księża tutajszych Niemcy stopniowo wysiedlili, aż został tylko je-

den przy kościele. Przy tym samym pochodzącym z XIV stulecia poddominikańskim kościele, który w wieku XVIII cesarz Józef II sprzedał żydowskiemu kupcom na skład żelaza. Przez całą wojnę w kościele odbywała się tajna nauka języka polskiego.

13 września 1944 roku łupnęły w Oświęcim amerykańskie bomby. Jedna zmiotła narożnik gmachu szkolnego, druga trafiła w szczególnie czułą partię budynku, leżącego na skarpie Soły. (Czytałem w „Kuznicy“, że jakiś amerykański pilot założył w Stanach towarzystwo mające na celu odbudowę niemieckiego miasta, które on sam bombardował; jaka szkoda, iż dobroczyńca ten nie bombardował Oświęcimia właśnie!). Potem przyszyły jeszcze bomby sowieckie, które wprawdzie nie trafiły w budynki ale uszkodziły je „podmuchaem“.

Dziś szkody są już naprawione, zakłady czynne, pełne uczącej się młodzieży. W halach warsztatowych majstrowie wykańczają monumentalny posąg Chrystusa, który stanąć ma na szczycie gmachu. Był tam dawniej posąg. Stracili go Niemcy.

Nazajutrz zwiedziłem tę część z kładow, która mieści się w obozach po-SS-mańskich blokach (dawny Lager B). Gmaszyska solidne i ponure, stoją rzędem jak na zbiorce.

Salezjanie objęli to we wrześniu roku 1947. Panował tu wtedy nieopisany chaos, bałagan i brud. W styczniu 1948 gmachy były już w porządku, wyremontowane i wykorzystane. Mieszczą się tu: kaplica, szkoła budowlana, jedno z gimnazjów zawodowych i sierociniec — „Dom Dziecka“. Wielkie hale baraków nadają się znakomicie do celów szkolnych. Uczniowie szkoły budowlanej mogą i w zimie — w cieple i pod dachem — uczyć się murarskiego kunsztu. Na podłodze obszernej sali stoją fragmenty murów, narożników, słupów. Wszystko naturalnej wielkości. Szkolne prace uczniów.

Obok, za drutami, wznosi się jeszcze dziesięć takich samych bloków. Opuszczonych jednakże i niezamieszkałych.

Idziemy do domu Dziecka. Po drodze dogania nas dwóch chłopaków. To uczeń ze szkoły stolarskiej, który powracając z ferii świątecznych spotkał gdzieś pod Suchą małego, bezdomnego sierotę i zabrał go ze sobą.

— Weźcie mnie, proboszczu, weźcie — doprasza się mały.

— A no, chodź.

Jest tu już w tym sierocińcu siedemdziesięciu pięciu takich samych jak on. Sieroty, bezdomni, lub nawet chłopcy mający rodziców, lecz zato warunki w domu takie, że sierociniec ulgą jest dla nich i wyzwoleniem. Najgorsza, bezbronna dziecica nędza. Salezjanie zbierają ich po ulicach, dają ubrania zamiast łachmanów, dezynfekują, odswawiają. Zdarzyło się razu pewnego, że jeden z tych chłopców po siedmiokrotnej dezynfekcji jeszcze miał wszy. Wszawica! Niemilo o tym czytać? Ale mieć wszy w skórce jeszcze bardziej niemiło. Napewno!

Nie każdy nadaje się na wychowawcę tych chłopaków. Bo to jest środowisko trudne do prowadzenia jak żadne inne. Chłopcy nawykli do włóczęgostwa, samowoli, czasem nawet do kradzieży. Niektórych z nich opanowuje chwilami tak zwana „chandra“ to jest nieprzewartwa rządza wędrowki w świat. Był taki, który zamknięty w jakimś punkcie zatrzymał pod wpływem „chandy“ ciężko pokaleczył się nożem. „Tak mnie pilnowali, że wyścisnąć nie mogłem“ — wyjaśniał później.

Jakimi sposobami, daje sobie z nimi radę ten młody ksiądz, ich wychowawca? Jak potrafi naprowadzić te pogmatwane ścieżki dziecinnych żywotów? Rozmaicie, a zawsze po dobroci. Czasem sposób jest uderzająco prosty, lecz... trzeba wie dzieć, że taki istnieje. Któremuś z najgorszych łobuzów podarował kiedyś wychowawca scyzoryk. Zwykły, żelazny kozik. I to był dla tego chłopca straszny wstrząs.

WYTYCZNE

Program wobec Niemiec

Warszawska Konferencja 8-miu, najbardziej bezpośrednio zainteresowanych przyszłością Niemiec, państw ustaliła zasady wspólnej i jednolitej polityki krajów Europy środkowo - wschodniej w stosunku do niedawnego okupanta.

W wyniku dwudniowych obrad wydano oświadczenie przeciwstawiające się mocno uchwałom Konferencji Londyńskiej z dn. 7 czerwca br. i formułujące własny na te sprawy punkt widzenia. Paragraf ósmy ogłoszonego przez obradujących ministrów oświadczenia jest programem politycznym reprezentowanych na konferencji państw na najbliższy okres czasu. W stosunku do polskiej racji stanu uchwały konferencji mają znaczenie zasadnicze.

Uwagę należy zwrócić specjalnie na dążenia do utrzymania pokoju w Europie, a tym samym na całym świecie, na ostre przeciwstawienie się wszelkim próbom rewizjonizmu w stosunku do granic zachodnich Rzeczypospolitej i mocne podkreślenie ostateczności ich przebiegu wzdłuż linii Odry i Nissy, wreszcie na wysunięcie konieczności trwałego rozwiązania spraw niemieckich podczas konferencji pokojowej, która powinna być zwołana możliwie szybko przez wszystkie cztery wielkie mocarstwa.

Na marginesie Konferencji Warszawskiej warto sformułować pogląd generalny. — Z punktu widzenia polskiej racji stanu za korzystne będziemy zawsze uważać te wszystkie fakty, które stanowią wzmocnienie stanowiska Polski wobec Niemiec.

Nie ma przyjaźni z Polską bez wspólnego z interesami naszego narodu poglądu na Niemcy!

Dmitry 10/52

Tadeusz Dworak

Pies

Dajcie mi pokój z Hamletowskim być albo nie być; odpowiedźcie mi na inne, niemniej doniosłe pytanie: co to jest pies, choćby np. mój Misiak-znajda, z punktu widzenia metafizyki?

Na wstępie zaznaczam, że główną przeszkodą w poznaniu takiej, jak pies, substancji, jest rozumowanie. Nie godzę się na nie.

Otóż, kiedy chcę widzieć psa, nic nie myśląc przytem, pogrążam się z czystą ideą istoty psiej, z ideą-wolą przenikliwą jak promienie wzroku lub radaru, a nieruchomą, jak stalowa łódź podwodna — w ciemnej, mistycznym lodem pokrytej toni. Albo może — jak samolot „skrzydło” unoszę się do psa w niebo, w którym jest tylko ten jeden pies, w eteru kosmicznego wielkiej, szklistej oprawy, a koło niego wpół dostrzegalnie wirują światy i kwiaty na trawie. Wtedy, jeśli mi się uda zatrzymać zwykłe myśli, kręcące się jak drewniane konie karuzeli — i zwinąć cały cyrk, jeżeli mi się uda zapomnieć o wszystkim i o jądrze wszystkiego, o sobie, nagle widzę, jak wyłania się ze światła i mroku, na kształt Wenus Anadiomene — wynurzającej się — czerwono-muskularne, żarem energii wypełnione ciało psa, które jest jego duszą, porośnięte białą sierścią.

Widzę, że cała jego skóra, delikatna, jak membrana telefonu, czująca — i świetlisty nabłonek oczu i uszy i nos — to wszystko jest otwarciem jego zwierzęcego wszechświata, a zarazem zamknięciem, w którym się przelewa i krzepnie i promieniuje, dążąc do zenitu, pełnia życia psiego.

Wtedy już rozumiem, jak się kurczy jego kręgosłup gwałtowną falą biegu i rozumiem jego doskonale bezmyślny, wspaniałe prawdziwy i niezachwianie pewny skok przez maleńki odcinek kosmosu — od brzegu chodnika do jadącego tuż obok motocykla.

Piłkarze

Patrzcie, jak młodzian o potężnej lydce i wspaniałym udzie, mocno obuty, chodzi pokracznie, kaczkowato. Tak chodzić musiało brakujące u Darwina ogniwo, podobno już odnalezione, małpa zarośnięta, krzywonoga, goryloidalny lub szympansokształtny człowiek z epoki wczesnego dyluwium, praszczur piłkarza i poety. Obaj depczemy po główkach młeczow, patrzących miłośnicie i świecie, z męczenną obojętnością w twarz słońcu ze zdeptanej trawy. ... W nagłym olśnieniu jasnowidztwa oeniłem czaszkę piłkarza: Tak, to jest czoło genialnego gorylpluda. Duma i lęk przeszły przeze mnie fala od brzucha poprzez serce ku gardłu; pierś napęczniała i opadła. Spojrzałem ukradkiem w lustro — o bogowie wszystkich olimpiad — toć ja mam takie samo niske, gorylowato wspaniałe czoło! Teraz spostrzegłem, że brat piłkarz nie ma w sobie żadnej poetyckiej bufonady. Pierś jego potężna dźwiga się sama — w ciemnych oczodolach pod słońcem migocą dwie tajemnicze iskielki pierwotnej, twórczej inteligencji. Jest to błyskawiczna mądrość — nie rady, lecz boju, nie popis inteligencji wyćwiczonego cyrkowo języka, lecz walka o byt, gdzie myśl jest ruchem, napędem elektrycznym mięśni, ciosem, rozstrzygnięciem. Ów zaś kaczkowaty chód, to doskonała ekonomia wysiłku, to chód odpoczywający. Bacność! Na środku placu zamieszanie. Z kłębowiska czerwono-białych i zielono-pasiastych zawodników mocnym wykopem wybito piłkę na skrzydło. Zobaczcie, jak mój futbolista, cudowna małpa zielona, ruszył ku niej tygrysim biegiem, wziął ją z powietrza na nos buta, skierował między dwie głowy nadbiegających obrońców i piłka, jak rakietka, strzeliła w górny róg siatki, powodując wybuch oklasków, jakich nigdy nie wzbudził poeta.

Tadeusz Dworak

— To dla mnie? Dla mnie? — pytał nie wierząc.

Temu dziecku nikt, nigdy, niczego nie podarował.

Chłopcy ci mają dziś, dzięki Sa lezjanom, dach nad głową. Uczą się, bawią. Potrzeby ich są z grubsza — mocno z grubsza — zaopatrzone. Ale jednak ubogo tam w tych po-SS-mańskich blokach. Drewniana podłoga istnieje tylko

w szpitaliku, gdzie indziej cement. Brakuje środków na wszystko.

Na głównym gmachu zakładów widnieje tablica ku czci doktora Ślósarczyka. Był to wielki dobroczyńca tych szkół. Lekarz, który przez długie dziesiątki lat całkowicie bezpłatnie leczył tutejszych uczniów. Był gotów zawsze na każde wezwanie, przychodził o każdej porze dnia i nocy.

Salezjańskim zakładom w Oświęcimiu bardzo potrzebna jest pomoc ludzi czujących i myślących podobnie jak doktor Ślósarczyk. Nie jest to wcale jakiś specjalny apel do lekarzy. Formy pomocy są przecież rozmaite.

Adres zakładów: Salezjanie, Oświęcim.

Paweł Jasienica

Juliusz Nowak-Dłużewski

KSIĄŻKA PODWORSKA KIELECCZYNY

We wstępie do pracy T. Lehr-Spławińskiego „Język polski” znalazłem uwagę, że autor, pracując w czasie wojny nad swym dziełem, korzystał ze zbiorów biblioteki dworskiej w Wyszomontowie, gdzie był gościem, i niektórych bibliotek okolicznych. Musiały to być biblioteki wcale nieubogie, jeżeli sławista znalazł w nich dzieła ze swej specjalności.

Uwaga Lehr-Spławińskiego poruszyła mnie w sposób dość nieprzyjemny. Jest ona jeszcze jednym dowodem więcej, przez jakie zniszczenia przeszły księgozbiory dworskie w czasie wojny.

Stan tych księgozbiorów poznałem ockolwiek, zajmując się w r. 1945-46 akcją zabezpieczania i zwożenia bibliotek dworskich z terenu Kielecczyzny do zbiornicy kieleckiej.

Książek z powiatu opatowskiego, gdzie leży Wyszomontów, zebrało się stosunkowo niewiele. Trochę mi to dziwiło. Bo jakże? Opatowskie — to powiat najżyźniejszy, a więc i najbogatszy w całym województwie kieleckim. Gęsto było w nim dworów. Kiedy się wyjechało w tym mocno pagórkowatym terenie na górki, od razu się miało perspektywę na parę dworów okolicznych. Dwory były zamieszane i każdy inteligentniejszy ziemianin (abstrahując od absolutnych kołtunów) miał u siebie jaką taką biblioteczną. Wyszomontowska, jak się okazuje, była wcale nienajgorsza.

Wszystko to przepadło. Rozlażło się po okolicy, między ludzi, którzy przeważnie nie mieli wspólnego z książką. Mało kto dbał o całość bibliotek, kiedy chodziło o rzeczy ważniejsze i realniejsze.

Nauczyciele, powołani przez swoje władze do opiekowania się książką podworską, nie mogli sprostać swym zadaniom. Widziałem ich w terenie, nieraz bezradnych i zahukanych.

Nie interesowali się książką późniejsi zarządcy ośrodków rolnych i resztek. W tym czasie zresztą los tej książki był przypięcętowany. Przybywało się do dworu normalnie za późno. Bezpośrednio po opuszczeniu dworu przez byłych ich właścicieli urządzeniem dworskim wraz z biblioteką zaczęli się interesować ludzie chciwi, którzy nie mogli zrozumieć faktu, że parcelacji podlegają tylko obszary ziemi dworskiej, ale że urządzenie wewnętrzne dworu należy do państwa.

Bywało oczywiście niekiedy inaczej, kiedy można było nawet latem 1945 r. wybierać biblioteki dworskie prawie w całości, prawie nienaruszone. Dzięki poczuciu obywatelskiemu pewnych chłopów miejscowych zachowała się np. bardzo cenna biblioteka w Bejskach (powiat pinczowski), w której było sporo książek po Badenich.

Któryś z Badenich (o ile sobie dobrze przypominam, Marcin) był plenipotentem interesów rodziny Poniatowskich; z tego tytułu zbliżył się do króla Stanisława Augusta. Widocznie po wyjeździe króla z kraju po ostatnim rozbiore część biblioteki królewskiej przeszła w jego posiadanie, a po nabyciu przez Badenich

Bejse dostała się do tej malowniczo nad Wisłą położonej miejscowości.

Stamtąd przywieziono do Kielc m. in. ładne voluminy w oryginalnych osiemnastowiecznych oprawkach z wyściśniętymi na stronie licowej okładkami herbami króla i państwa. Ze wzruszeniem oglądało się również z Bejse pochodzący „Dictionnaire historique” Baile’a, który tylu licznymi i mocnymi węzły związany jest z filozoficzną myślą polską, w pierwszym rzędzie z polskim antytrynaryzmem, od którego jest zależny.

Udało się przywieźć poważną ilość książek z Nagłowic (pow. jędrzejowski). Najcenniejsza z niego zdobycz to biblioteka o treści dogmatycznej, która stanowiła własność Luizy Hohenzollernówny, żony Radziwiłła, późniejszego namiestnika Księstwa Poznańskiego: książki doskonale utrzymane z oryginalnymi exlibrisami księżniczki pruskiej. Równie cenną zdobyczą ze znaleziska nagłowickiego były książki z Rzeszówka, wśród których znalazła się pewna ilość tomów po Adolfe Dygasińskim (przeważnie z dziedziny filozofii i wychowania — przedmiot zainteresowań pedagogicznych tego pisarza-pedagoga). Te książki przechowała u siebie nagłowicka komórka PPR.

Przeważnie jednak trzeba było się kontentować resztkami. Resztki te były mniejsze lub większe, zależnie od warunków i zmiennych okoliczności miejscowych. W takich desperackich sytuacjach delegat kielecki musiał się czasami przedzierać w sędziego śledczego, bobrując w poszukiwaniu mienia podworskiego. Dawało to przeważnie rezultaty mizerne, wyczerpując w zamian siły nerwowe delegata, skazanego na użerkę z ludźmi. Ale i tego zabiegu nie należało żałować, bo w sumie ogólnej do czegoś się w końcu dochodziło. Jakże takie, ale również niewielkie rezultaty dawał handel zamienny. Ten znowu zabieg stosowało się dzięki uczynności nauczycieli.

Owczesne wędrowki nie pozbawione były jednak swoistego uroku dla poszukiwacza dobra kulturowego: jakieś podróże w nieznaną, po niewiadome z góry rezultaty.

Nigdy nie zapomnę pierwszej wyprawy (w początkach kwietnia 1945) kieleckich argonautów. Dosłownie argonautów, bo miejscami trzeba było pływać po rozmokłych w wiosennym dżdżu drogach. Była to wyprawa do Chrobrza Wielopolskiego. Zaraz za Krzyżanowicami samochód gruntownie ugrzązał na drodze w dolinie Nidy. Trzeba było rwać na piechotę do bliższego już Chrobrza, pozostawiając samochód u księdza w Krzyżanowicach; w całym zysku miało się satysfakcję oglądania ładnego klasycystycznego kościoła w tej wsi, fundacji Hugona Kołłataja, właściciela, kolarza i proboszcza w jednej osobie (urodzony w pobliskich Niecisławicach, wychowanek kolegium akademickiego w Pinczowie, Atenach Sarmackich — cała ta okolica oddycha historią, bo i Chrobrz to stare bardzo grodzisko na wysokim urwistym brzegu Nidy).

Stan w Chrobrzu znaleźliśmy przeżający. Półki olbrzymiej dwupiętrowej sali bibliotecznego były do-

śownie wypatroszone z książek, które leżały na parkiecie w bezkształtnych masach. Trudno się było poruszać wśród tego osobliwego cmentarza wspaniałej ongi biblioteki, bo- daj czy nie największej z wiejskich w Polsce, a pewnie najwartościowszej. Gromadzili ją poprzednicy Wielopolskich, m. in. Myszkowscy, z których pochodził znany mecenas renesansowy, biskup krakowski, protektor Jana Kochanowskiego.

Posiadała ta biblioteka piękny komplet druków szwajcarskich, m. in. druki z oficyny Oporyna, u którego drukował swoją „Naprawę Rzeczypospolitej” Andrzej Frycz Modrzewski. Z 12.000 tomów księgozbioru chroberskiego zostało około połowy. A i to Bogu dziękować, że między relikwiami znalazło się trochę szwajcarskich exlibrisów Myszkowskich (między nimi — piszę dla ilustracji — pięknie tłoczona pergaminowa oprawa po wydartym z niej tomie potężnego greckiego wydania któregoś ze średniowiecznych ojców kościoła).

Miałem nadzieję, że w księgozbiore chroberskim znajdę choć parę starodruków reformacyjnych z oficyn, znajdujących się na terenie historycznej Kielecczyzny — pinczowskiej i rakowskiej. Bo gdzież ich było szukać, jeżeli nie w starych bibliotekach z tego terenu! Specjalnie polowałem na druki oficyny Daniela z Łęczycy, najstarszej z różnowiecznych w Polsce, która przez parę lat pracowała w Pinczowie. Druki rakowskie Aleksandra Rodeckiego i Sebastiana Sternackiego należały również do cenny, ale nie w tym stopniu, co pinczowskie, są o kilkadziesiąt lat młodsze. Nie, nie znalazłem ani jednego egzemplarza, nie tylko pinczowskiego, ale i rakowskiego, nie tylko w Chrobrzu, ale w żadnej ze starych bibliotek podworskich Kielecczyzny. Przypuszczam, że w Chrobrzu podzieliły los zaginionej połowy.

Gorszy może widok reprezentowało archiwum chroberskie, zwalone do jednego z pomieszczeń budynku ministerialnego klucza chroberskiego. Było to archiwum, które posiadało cenne źródła do powstania 1863 roku i działalności Aleksandra Wielopolskiego (nie wiem, w jakim stopniu wyzyskane przez A. Skalkowskiego do jego monografii A. Wielopolskiego, komponowanej jeszcze przed r. 1945). Zbiór dyplomatów w ilości kilkadziesiąt sztuk od XIV wieku zaginął.

Sunt lacrimae rerum.

Podobne straty poniosła biblioteka w Sancygniowie (pow. pinczowski), na mniejszą oczywiście skalę. Wielopolscy byli magnatami, niektórzy — magnatami kultury, jak Aleksander Wielopolski. Ale i sancygniowski księgozbiór był również wartościowy. Była to jedyna, o ile mi wiadomo, biblioteka na terenie Kielecczyzny, biblioteka dworska, do której mieli dostęp badacze naukowcy.

Były tam wydania wszystkich polskich historyków, począwszy od Hallala i Długosza, był ciekawy zbiór polskiej literatury homelitycznej. Z przedkimi właścicielami księgozbioru Desku-rem, emigrantem francuskim, przyjechał do Polski nierodzący klasycy-

nej literatury francuskiej, filozoficznej i pięknej. Straty w księgozbiorach dworskich to jedna z klęsk żywiołowych, przez które przechodził nasz kraj od r. 1939.

W każdym razie zbiornica kielecka (obecnie Biblioteka Wojewódzka) otrzymała część tylko podworskiego materiału książkowego (niecałe 40.000 tomów). Ile go było przed rozproszaniem, trudno obliczyć. W dwu tomach chyba wypadkach dostaliśmy katalogi biblioteczne. Myślę, że tą sprawą powinny się zająć czynniki kompetentne. Dla porządku, dla zorientowania się, ile było książek w ogóle, jaki procent zdołano uratować. Danych dokładnych mogłoby tu udzielić były właściciele dworów, specjalnie o to zapytani.

Myślę również, że byłoby pożądane w związku z powyższym dokończyć akcję rewindykacyjną w terenie z zastosowaniem wszelkich rygorów, choćby najostrożniejszych. Czas dzisiejszy nie jest tak gorący, jak wiosną czy latem 1945 r. Są do dyspozycji środki lokomocji, znajdują się chyba chętni ludzie. W pierwszej połowie r. 1945 o ciężarówce marzyło się, a otrzymywało się ją nie często i po długich staraniach.

Gra warta świeczki. Nie chodzi tutaj o współczesną literaturę, której tyle było po dworach, głównie francuskiej i angielskiej. Choć i to czasami nie było do pogardzenia. Dość wspomnieć o słicznych luksusowych wydaniach klasyków literatury angielskiej (Tennyson, Thackeray, Dickens, Kipling etc.) z biblioteki Wielopolskich w Krzelowie (pow. jędrzejowski).

Zasadniczo chodzi o bezcenne wprost dobro narodowe, gromadzone z wielkim nakładem środków czasami przez całe stulecia, chodzi o starodruczne unikaty, których dziś może być w Polsce nie ma w bibliotekach publicznych i których nam nikt i nigdy nie przywróci. Chodzi wreszcie o takie pozycje, jak np. biblioteka Truskawskich w Łazach (pow. olkuski), która liczyła podobno aż 7 tys. tomów książek z dziedziny wojskowości. Znikoma ich ilość dostała się do Kielc. Ten zbiór o wartości po prostu muzealnej powinien się znaleźć jeżeli nie został zniszczony i trafić tylko do Głównej Biblioteki Wojskowej w Warszawie.

Juliusz Nowak-Dłużewski

Nowość

Juliusz Kędziora

Szymon Syn Jony

powieść

o św. Piotrze

Wydawnictwo Mariackie
Kraków, Szpitalna 2

ADMINISTRACJA

uprzejmie prosi PT. Pre-numeratorów o dokładne i czytelne podawanie nazwisk i adresów. Nieczytelny lub niedokładny adres opóźnia lub często uniemożliwia wysyłkę pisma.

Zygmunt Lichniak

Kiedy krytyk przestaje być uczciwy?

1. CHARAKTER ARTYKUŁU I SPORU

Nowy artykuł *) Żółkiewskiego zasługuje na szczególną uwagę. Niewątpliwie jest to najbardziej wyróżniająca się dzieło naszej powojennej krytyki marksistowskiej. Zawiera niedokładne omówienie książki prof. Borowego „O poezji polskiej w w. XVIII”. Z pewnością opiera się na nim będzie wielu nauczycieli i studentów. Z tak ważnym artykułem trzeba się rozprawić zasadniczo.

Nie mam zamiaru w popularnym tygodniku pisać recenzji metodologicznej. Chociaż artykuł zasługuje na długą i poważną dyskusję teoretyczną. Ale artykuł Żółkiewskiego to nie jest abstrakcyjne studium teoretyczne. To jest artykuł żywy. Jego funkcją nie jest wyjaśnianie takiego czy innego oderwanego problemu. Jego funkcją społeczną będzie z pewnością szerokie oddziaływanie wychowawcze. Tak też został pomysłany i napisany.

Toteż moja recenzja nie będzie krytyką metodologiczną, a publicystyczną. Postaram się — może z przesadną delikatnością — obnażyć treść społeczną, intencje wychowawcze, zawartość propagandową artykułu Żółkiewskiego.

Artykuł omawia ostatnią pracę prof. Borowego, ale mnie nie chodzi tu o jej obronę. Obrona taka jest zbyt przetrzała. Jeśli przeprowadzi, jeśli przeczytamy tę książkę uważnie, obiektywnie, bez nerwowych szoków, większość stawianych jej zarzutów sprawdzi się sama ad absurdum.

Bronić chcę czego innego. Rzeczy śmiesznej: uczciwości.

Powiedzmy bez patosu i silenia się na łatwe dowcipy: wolno nam się różnić w poglądach politycznych i postawach metodologicznych, wolno komuś się wściekać, że zwolennik innej, niesłusznie ośmieszanej metody badawczej stworzył świetne dzieło historyczno-literackie, wolno żółknąć z zazdrości, ale nie wolno szantażować opinii publicznej chytrze demagogicznymi recenzjami, które omawianą przez siebie pozycję stawiają w fałszywym świetle, w tendencyjny sposób selekcjonują jej wartości, by wreszcie wyciągnąć absurdalne, usiłujące poniżyć jej znaczenie wnioski.

Taka postawa prowadzi poprzez wewnętrzne niekonsekwencje do śmieszności, aby wreszcie popełnić grubą nieuczciwość.

2. WEWNĘTRZNE NIEKONSEKWENCJE

Żółkiewski pisze: „Jedną z funkcji nauki... jest zmienianie tradycyjnego obrazu świata”. Nie będę stosował jego chwytów i tłumaczył, że chodzi w tym sformułowaniu o to, aby w XXI wieku — wbrew tradycji — dwa razy dwa równało się trzem, a trójkąt posiadał pięć kątów. Takie symplifikatorstwo byłoby orężem z arsenału „Kuznicy”. Rozumiem, że Żółkiewskiemu chodzi w jego określeniu raczej o zmianę stanowiska podmiotu badającego do badanego przedmiotu. W jakim duchu ma się dokonywać ta zmiana, też wiemy.

Oczywista, z takim ujmowaniem funkcji nauki zgodzić się nie można. Nie zmienianie, ale przeciwnie, ustalanie obrazu świata poprzez ustalanie naszej wobec niego postawy, jest zadaniem nauki. Nie na fluktuacjach zmienności opiera się postęp nauk choćby fizycznych, ale właśnie na uchwytności konstansów, praw niezmiennych, rządzących naturą.

*) Stefan Żółkiewski: „Kiedy profesor przestaje być formalistą?”, *Kuznica*, nr 25 (46), dn. 20 czerwca 1948 roku.

Ale — niech będzie. Obiecałem nie wszczynać dyskusji teoretycznych. Ponieważ definicja poezji, przyjęta przez prof. Borowego, jest definicją tradycyjną, więc Żółkiewski nie może wybaczyć profesorowi, że ten nie zmieni „tradycyjnego obrazu świata”. A dalej pisze: „Założenia, które przyjął prof. Borowy, pozwalają mu na odwrócenie hierarchii wartości”. Więc zmienia, czy nie zmienia? Oczywiście, „odwrócenie hierarchii wartości” to zmiana i nawet jedna ze zmian zasadniczych. Z czego wyrosła niekonsekwencja? Po prostu: z pośpiechu, z braku przemyślenia.

Taki sam powód może tłumaczyć i inną niezgodność. W trzecim rozdziale swego artykułu Żółkiewski założywszy sobie, że ma do czynienia z formalistą, macha piórem jak rycerz z La Mancy machał mieczem i stwierdza, że „nie umiałby wskazać jakichś „naszych” pojęć estetycznych dzisiaj”. A w następnej kolumnie, gdzie mowa o nowych wierszach Baki i wierszach Beniśławskiej, wyznaje, że „właśnie te wiersze robią na nim wrażenie pustych, formalnie dewocyjnych”. Więc?

Lepiej zacytować porzekadło de gustibus i nie nudzić Pana Redaktora wnioskami, bo są sprawy ważniejsze.

3. ŚMIESZNOŚCI

Pisze Żółkiewski, że u prof. Borowego „pisarze nowatorzy postępowcy — ale intelektualni, spychani są w dół jako „nieprawdziwi” poeci. Tak zostaje zepchnięta cała walcząca, społeczna, progresywna poezja XVIII w. Taki jest los Bohomolca, Krasickiego, Jasińskiego. Natomiast można windować w ocenie estetycznej do góry tych niezłych poetów zakrytych, którzy dołąd skromnie zajmowali miejsce w życiu literackim XVIII wieku. Wyrasta książka Baka, Beniśławskiej. W wyniku tak perfidnej akcji prof. Borowego „otrzymaliśmy syntetyczny, bibliograficznie pełny obraz naszej poezji XVIII wieku — ułożony wedle zupełnie fałszywej hierarchii wartości. Ale hierarchii celowej, politycznej”.

Zważcie to w duszy i sobie. Celowej, Politycznej. I fałszywej. „Obniża ona pisarzy postępu, wywyższa pisarzy ówczesnej reakcji szlacheckiego zacofania kulturalnego”. To jest punkt wyjścia i dojścia (bo w błędnym kole to na jedno wychodzi) analizy krytycznej Żółkiewskiego.

Pomińmy tu, współczując chorobie jednostronności, sugestie, zarzucające prof. Borowemu polityczny machiavelizm w hierarchizowaniu wartości estetycznych. Zarzut ten będzie długo kursował jako wyborna anegdota, by wreszcie w charakterze najradszego eksponatu trafić do patologicznego muzeum krytyki literackiej. Pomińmy nonsensowność zarzutów poniżania Bohomolca czy Krasickiego. Lektura poświęconych im rozdziałów zbyt wyraźnie świadczy przeciw redaktorowi „Kuznicy”, aby dłużej się nad nimi zatrzymywać. Przyjrzyjmy się jednak do jakich śmieszności prowadzi pośpiech gorączkowych i rozsierdzonych uproszczeń. Kto to reprezentuje dla Żółkiewskiego „walcząca, społeczna, progresywna poezja XVIII w.”? Bohomolec, Krasicki, Jasiński.

Bohomolec... Przypomina się mnóstwo jego sztucznych konwiktowych, gdzie różni lokaje-hultaje „reprezentują” lud. Żółkiewskiemu chodzi o „Monitora”. Ostatecznie, z naciąganiem — niech będzie.

Ale — Krasicki! Z tego sybaryty i politycznego oczajduszy zrobić postępowca! A to by się X. B. W. uśmieł, gdyby „Kuznicę” przeczytał. Przecież postępowcy i libertyni nie mogli wleźć spokojnie w łuszczyk dorastać. A

biskup lubił mylnka pulchnymi paluszkami na krągłym brzusku kręcić. Jak on się dostał do awangardy społecznej? Chyba tylko w pośpiechu, dla skompletowania trójki nazwisk. A to wsiadł redaktor na swojego konika! Aż jęko poczucie zdrowego rozsądku i sumienie profesorów, którzy kiedyś uczyli redaktora historii literatury. Toć już prędzej ks. Baka ze swymi uwagami o śmierci niechybnej wszelkiemu stanowi (czuj duch! demokracja...) równej.

Pozostaje Jasiński. I tu się zaczyna poważna, smutna historia. Tamto były koszałki-opałki rozsierzonego antagonisty, tu mamy do czynienia ze zgubnymi konsekwencjami jakiejś manii przesławowejczy neurastenii politycznej, tu otrzymujemy odpowiedź na pytanie: kiedy krytyk przestaje być uczciwy?

4. NIEUCZCIWOŚĆ

Artykuł Żółkiewskiego jest fantazyjnie sekiarski, stronniczy, jednostronny w duchu rozwrzeszczanej trybuny wiecowej, lekceważący wszelki obiektywizm historyczno-literacki.

Przeczytajmy fragment poświęcony przeciętnemu poecie XVIII wieku, Jasińskiemu. Jest to fragment stanowiący klasyczny przykład nieuczciwości, fałszującej i jednostronnie nawiązującej relacje prof. Borowego.

Z artykułu Żółkiewskiego wynika, że „dla Borowego Jasiński jest naiwny”, że „Borowy karcie Jasińskiego za libertynizm i wolterianizm”, że „chce gwałtem z partyzanta rewolucji zrobić figlarne pasterza”, że „w antyklerykalnych wierszach Jasińskiego widzi tylko ich skabryczność”, że „nie widzi ich całej antyklerykalnej siły”, że „nie próbuje wnikać w odrębny styl poety — skazuje go za prozajczy, dłuższy, naiwności”.

Abym raz na zawsze obnażył sprawę takich „nieporozumień” przeczytajmy z książki prof. Borowego ten fragment, z którego Żółkiewski czerpie materiał do swoich oskarżeń. Oto wystarczające corpus delicti.

„Zgodny z wolterowskim jest jego (Jasińskiego) sąd o wiekach dawnych: np. uczył u Wierzyńka (wedle dygresji w pieśni V „Sprzeczek”) miał się skończyć na tym, że „król Kazimierz upiwszy się w szynku — z dworem, z żydówką tacał się po rynku”.

Jako uczeń Woltera w zakresie bardziej serio daje się Jasiński poznać z urywku poematu historycznego o Zamoyskim (słabego zresztą bardzo). Glorifikuje w nim Batorego, a gwałtownie i zjadliwie potępia papieżstwo, ilustrując jego działalność serią jaskrawie ujemnych przykładów historycznych.

Z pozytywnymi ideałami wolterowskimi wiąże się „Wiersz w czasie obchodzenia żałoby przez dwór polski po Ludwiku XVI”. Staje tu przed nami Jasiński jako wyznawca głębokiej wiary w równość wszystkich ludzi i w prawo, które jest nad wszystkimi. Ścięcie króla, mówi, to wypadek „warto zapewne zdumienia, wart wielkiej litości”, ale w Polsce dzieją się straszniejsze rzeczy codziennie i ludzie patrzają na nie obojętnie: „a gdy wam wolność, honor, majątki odjęto — wy płacecie, że króla o mil trzysta ścięto”. Ludwik nie zginął bez winy i nie został skazany bez sądu; „żałujemy go jak człowieka, lecz szanujemy prawa”.

A jak tu wyraz „prawa”, tak gdzie indziej wyraz „cnoty” (np. w wierszu „Do Świętoszka”) wymieniany jest przez Jasińskiego z tym uniesioniem, z jakim wymieniali go pisarze francuscy epoki przedrewolucyjnej. Gdy „cnoty” człowieka zdołają, „mniejsza do jakiejś kto wszedł świątyni”. Retoryka ta ma swoje szlachetne akcenty, ale rzadko występuje bez akompaniamentu propagand-

dowej argumentacji wolteriańskiej, najnawniejszego typu (wystawiającej wierzenia jako „sidełka”, zastawione przez „polityków” na łatwowieństwo ludzką itp.)” (str. 303).

Zestawienie tego fragmentu z zarzutami Żółkiewskiego powinno nasunąć wnioski, dostatecznie demaskujące jego metodę krytyczną. Jedno zdanie, poparte obiektywnymi przykładami w nawiasie, upoważnia Redaktora „Kuznicy” do żalów o karcenie Jasińskiego za libertynizm i wolterianizm, do pretensyj za robenie gwałtem z partyzanta rewolucją figlarne pasterza itd., itd. Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć tego zaślepienia.

A tak jak jest z Jasińskim, jest i w pozostałych sytuacjach. Sama atmosfera wywodów artykułu, namiętna, zaperzona i krzykliwa, ma fałszywie suponować podobny ton w omawianej książce. A jaki jest ton książki, świadczy choćby przytoczony fragment. W całym artykule Żółkiewskiego łatwo wykryć pewną metodę dyskredytowania wartości osądów krytycznych, zawartych w omawianej przez niego pracy. Chwyta się jedno zdanie, jak to ostatnie o Jasińskim, rozdyma się je w demagogiczną retorykę pytań czy oskarżeń i umiejscawiając w kontekście rozsierzonej drwinki, obok inwektyw na temat jasnogórskich pielgrzymek, wytwarza się atmosferę płytkiego zacietrzewienia politycznego, które paraliżuje próby obiektywnego wartościowania.

Można i tak. Ale nie trzeba wyjaśniać, jakie efekty wychowawcze da dzisiaj tak napisany artykuł. Wzbudzi on nie tyle brak zaufania do profesorów, ile niechęć, i to niechęć usprawiedliwioną, do redaktorów, którzy mogą kiedyś zostać profesorami.

Jaki bowiem ostateczny wniosek wynosi trzeźwy czytelnik po zakończeniu artykułu Żółkiewskiego?

Ano, taki: jeśli reakcjonista napisze słiczny wiersz o fiołkach w Neapolu, będzie go można nazwać przedstawicielem typowej degenerowały moralnej schyłkowego mieszczaństwa, a gdy postępowiec napisze rozwlekłą szmirę o... reformie rolnej, nazwiemy go wieszczem i wystawimy mu pomnik.

To ostateczne streszczenie jest karykaturą. Ale też artykuł Żółkiewskiego bodaj karykaturalnie zniekształca sądy i wartości, zawarte w książce prof. Borowego „O poezji polskiej w w. XVIII”.

5. KWESTIA ZASADNICZA

Ale — powtarzam — nie o obronę tej książki chodziło w tym artykule. Gdyby Żółkiewski chciał sprowokować dyskusję na jej temat, musiałby napisać i rozsądniej i — grzeczniej. Poważny krytyk nie powinien spłycać, upraszczać czy wręcz stwarzać pozornej problematyki, której w omawianym dziele nawet ze świecą nie znajdzie. Poważny krytyk musi zerwać z ingerencją zacietrzewienia partyjnego w sprawy literackie, musi poniechać łatwej demagogii pseudodowodów, musi stanąć na płaszczyźnie rzeczowej, obiektywnej argumentacji, a nie płytkiej filipiki. Pewnie, że można w poczuciu beżsiły uciekać się i do takich środków, ale...

Nie uchodzi, jak mawiał kapelan Fredry.

Zygmunt Lichniak

P. S.

PRO DOMO MEA

Zdaję sobie sprawę z tego, że ton mojej polemiki może się wydawać napastliwy. Został on spowodowany bez reszty charakterem omawianego artykułu. Celowość jego użycia okupiła przykrość, którą wywołać musiało stosowanie chwytów i obcych i niemitych.

Z. L.

Kazimierz Zenon Skierski

S Z C Z E N I Ę T A *)

Barbara usłyszała skrzypnięcie furtki, a w kilka minut potem dudnienie kroków na schodach. Poznała: to Konrad, nareszcie wracał z miasta! Znała jego najmniejszy krok, poznała z daleka po stąpieniu każde swe dziecko. Miała w uchu kolejność tych kroków, od pierwszych dziecięcych, słamazarnych, później rwanych chłopców, potem pierwszych mężniejących uderzeń stóp młodzieńców — cała przedziwna muzyka dojrzenia jej potomstwa, jej szczeniactwa, była w niej dziwną tonacją, zmieniającą się coraz bardziej, coraz poważniejszą w miarę wzrostu jej pokoleń. Od lat poznawała stany duchowe chłopców po stawianiu przez nich nóg. Rozróżniała w dudnieniu schodów wzburzenie czy figlarską uciechę Konrada, zamyślenie, przewlekłe nieco jak hymn kościelny, Stefana, i popędliwe, gnane jakimś niechlujnym pośpiechem kroki Michała. Kroki Genowefy były zawsze bezwzględne i jednakowo ciężkie jak bicie toporem w drewno. Bernard w dzieciństwie stapał zawsze na palcach, lekko, tanecznie, trochę oniesmielony jak dziecko ze szkoły baletowej, które się boi, że na nie krzykną i że będzie musiało natychmiast stanąć. Najstarszy, oficer, walił zawsze hałaśliwie obcasami o schody, jak w czasie musztry — to był urodzony wojak.

Wszystkie te głosy, dziwny żargon stanów i charakterów, chodzący od lat trzydziestu po śieni, przemykały się przez ganek i zapadały w krzaki bzu — tam i na powrót — we wszystkich fazach życia, razem, a najczęściej obok troski rodziców. Barbara pamiętała, że kiedyś wracając z miasta martwiła się bardzo, gdyż nie miała w domu dostownie ani grosza, a maż wyjechał na pracę. Wtedy usłyszała stukot bosych pięt chłopców i ich chichotliwy śmiech z piętra. To Konrad wdarłszy się na strych z pompką od roweru i kubelkiem wody, zlewał stamtąd „nieprzyjaciół” czatujących na schodach. Jakże mu wtedy była wdzięczna za te psie figle! W dodatku wszedłszy w tę płatanię krzyków i śmiechu, przypomniała sobie nieoczekiwanie, że w pracowni męża było szereg syfonów po wo-

*) Fragment powieści pt. „U przystani”, która ukazuje się niebawem nakładem Gebethner i Wolff.

dzie sodowej. Przywołała półgłosem Stefana: „Idź kochanie z tymi syfonami i odbierz zastaw — ale nie mów chłopcom gdzie byłeś”.

Ale teraz myliła się coraz częściej, myliła się od lat: jej małe żyły teraz własnym życiem, odgłos ich kroków mówił obecnie co innego niż myśli. Raz był skryty i cofnięty, kiedy indziej po aktorsku zuchwały, ostentacyjny, innym znowu razem po prośbie kłamiwy. Coś się zmieniło. Dokąd to wszystko uciekało?..

Zajęła się przygotowywaniem obiadu, ale dopiero po kilku automatycznych już, nawykowych ruchach gospodarskich zastanowiła się. Po co Konrad szedł na górę? W odgłosie jego kroków odkryła coś niespokojnego. Teraz dopiero, z opóźnieniem, jąta wsłuchiwać się w ten miniony ślad głosu, jakby z drżenia powietrza chciała wyjąć jego treść wewnętrzną. Co robił w tej chwili Konrad? — na górze przecież siedział Bernard.

a Józef tak dawno pytał o Konrada.

Konrad z maskowanym opanowaniem zaczął przerzucać nuty na pianinie. Bernard pochylony nad kartką z wywodami etymologicznymi obserwowił go spod oka: — czy może Konrad podglądał go w czasie chowania alfabetu?

— Aha! — przypomniał sobie nagle Konrad — byłbym zapomniał! Kotlarek przyszedł. Ma dla ciebie jakąś książkę. Przyszedł tylko na chwilę. Prosi, żebyś do niego zaraz zszedł. Jest w pracowni. — Wszystkie te zdania powiedział nie odwracając się, bał się, że zdradzi go bladłość twarzy.

Bernard ucieszył się nieoczekiwanie.

— Przyniósł książkę?

— Tak..

Szybko zbierał notatki, nagłymi, ptasimi ruchami chował kartki do kieszeni, spieszył się.

Ledwo wyszedł, Konrad przysu-

wał się pośpiesznie do drzwi balkonowych i spojrzął z góry na wejście do pracowni. Serce biło mu w krtani — to stanie się za chwilę! Czuł niewymowny ciężar tej chwili i chciał ją pchać zarazem naprzód jak wóz pełen kamieni. O, Bernard już nadchodził!.. Szybko, jak mógł najszybciej wypadł na schody, gwałtownie szalony, w sekundę był już w pracowni, Wstrzymując oddech stanął w progu — tu miał stać.

Bernard odwrócony do niego plecami pochylił lekko głowę. Kotlarek stał nad nim, wsadziwszy pięści w kieszenie i objaśniał mu tytuły rozdziałów książki, którą trzymał Bernard. Nic jeszcze nie zapowiadało tego momentu; dwaj obcy mężczyźni, barczyści jak atleci, chodzili pomału od rzeźby do rzeźby, nie zwracając uwagi na rozmowę doktora i przyglądali się w milczeniu kompozycjom. W chwili, kiedy Bernard zamknął lekko książkę, dziękując doktorowi, Ko-

tlarek odwrócił się nieco i — wyciągając lewą rękę z kieszeni, powiedział:

— Pozwól, że ci przedstawię moich przyjaciół, lingwiści. Jeden sinolog, drugi studiuje język perski. Pozwól.. Bernard niechętnie spojrzął na nich w momencie gdy odwracali się od rzeźby. Ich mięsiste twarze i atletyczne postacie zwały się na niego tak potwornym strachem, że przycisnąwszy mimo woli książkę do piersi, zawołał nagle: — Nie, nie!

Zaczął się zwolna cofać, patrząc w te szczęki, w te wrogie oczy. „Zby tylko przekroczyć próg” — pomyślał błyskawicznie, zrobił gwałtowny krok do tyłu, ale w tej właśnie sekundzie Konrad stojący w drzwiach, chwycił go zgiętym ramieniem pod gardło. Szarpnął się, ale tamci dwaj już byli przy nim, już wykręcili mu ręce do tyłu. Bił ich kolanami, kopnął; z cyrkową zręcznością obezwładnił go jednak, ciągnąc w głąb pracowni. Bernard ujrzał twarz Konrada błada, konwulsyjnie zacziśnięta i wtedy z cichych się krzyknął:

— Czekał, zbrodniarzu, zapłacę ci! Ty nie jesteś moim bratem! Ty jesteś bękartem! Jagodziński, Jagodziński!

Ale już Kotlarek, wyciągnąwszy z kieszeni strzykawkę, wbił igłę w udo chorego. Ten szarpnął się spazmatycznie, Kotlarek pochylony nad nim, mówił wolno:

— Leż spokojnie! Chcesz, żeby ci igła utonęła w tyłku?

Nie wiadomo, czy to zastrzyk począł już działać, czy to niski głos lekarza wpłynął na niego, dość, że Bernard zaczął zwalniać mięśnie, odpręczał się. Związane, atletyczne sanitariusze ułożyli w końcu na podłodze.

Kotlarek chowając strzykawkę zawołał popędliwie, zadyszany nieco basem na Konrada:

— Sprowadź karetkę!

Muzyk wybiegł na ulicę, z daleka dał znak szoferowi, otwierał bramę, gdyż nie chciał aby sąsiedzi widzieli scenę wynoszenia brata.

Na odgłos samochodu, zajeżdżającego pod studnię, Agnieszka stanęła zdumiona wśród zagonków. Barbara wysunęła się z kuchni na ganek, pełna dziwnego naraz niepokoju. Pomyślała, że to męża chcą zabrać do szpitala. W żadnym wypadku nie zgodziłaby się na to!..

— Co się dzieje? — zawołała do Stefana, który właśnie wysiadł z karetki.

— Nic, nic! — rzucił jej w przelocie i wbiegł do pracowni. To było dla niej coś zdumiewającego! — Co się dzieje?! Barbara zeszła ze schodów, pośpieszyła za synem, ale już we drzwiach ukazał się mężczyźni niosący związanego Bernarda. Był bezwładny, jakby ulepiony z gliny, rozpadał się nieomal swym twardym ciężarem w rękach niosących. Jego twarz była tak czerwona, jakby zaraz miała z niej wytrysnąć krew.

Matka cofnęła się pod ścianę domu, rozumiała wszystko. Jej oblicze stało się nagle tak małe jak twarz dziecka, oczy zwały się. Rozumiała — i kiedy karetka minęła już bramę, wówczas z wielkim szlochom wsunęła się do pracowni.

Usiadła na najbliższej skrzyni, zapłakała z całego, chorego serca. Taką była teraz bezradna i samotna! Łzy ciekły jej po policzkach, zasłaniała oczy dłonią, gdyż światło padające z okna raziło ją. Nie odwróciła się nawet kiedy po jakimś czasie wszedł Konrad, oddana całkiem swemu bólowi.

Stanął przed nią bezradny, zaskoczony jej rozpaczą, czuł się poniekąd winowajcą tego bólu.

Dokończenie na str. 10).

Książka na tydzień

W gruncie rzeczy najciekawszą osobą książki, którą czytamy, jest sam autor. Odkrywanie jego prawdziwego oblicza jest zajęciem pasjonującym, zwłaszcza, gdy się pisarza zna jednocześnie od strony stosunków towarzyskich. Cóż to np. za niebywała konfrontacja małego, drobnego Kisielskiego, parodoksyśty o mocno przereźdzonej jasnych włosach, z autorem jego dwóch denerwujących powieści.

Obie powieści Kisielskiego — „Sprzysiężenie” i „Zbrodnia w dzielnicy północnej” denerwują tym, że pisarz, z bezprzykładną perfidią ukrywa ich rzeczywistą problematykę za zasłoną dymną problematyki nieistotnej. Bo nieistotną rzeczą w „Sprzysiężeniu” jest zagadnienie psychoseksualnego urazu bohatera, nieistotną — zawiłany dramat morderstwa prof. Galarda w „Zbrodni”. I tu i tam natomiast problemem zasadniczym jest problem episku, problem związku grupy ludzi, pragnących par force zbawić ludzkość.

Omawiając kiedyś „Sprzysiężenie” powiedziałem, że ta powieść wydaje mi się artystycznie chybiła, przez swe „przegadanie” się na tematy po-

stronne. Po przeczytaniu „Zbrodni” nabrałem przekonania, że „w tym szaleństwie jest metoda”. Kisielski nie chce — może nie czuje się jeszcze na siłach — by wypowiedzieć nurtującą go wątpliwość do końca. W „Ucieczce z Jasnej Polany” powiedział A. Rudnicki, że każdy pisarz ludzi się, iż pisze zawsze jedną tylko książkę. Rudnicki się mył! To przeciwnie pisarz ludzi się, że pisze wiele książek, gdy w rzeczywistości pisze zawsze jedną książkę swego życia. „Zbrodnia” Kisielskiego jest dalszym ciągiem „Sprzysiężenia”, jest „Sprzysiężeniem” rozwiniętym. Jest — ostateczną jego konsekwencją. Jest ilustracją światopoglądowej tezy, która „zamęcza” Kisielskiego: czy z najlepszych nawet intencji wysnuta akcja, mająca na celu zbawienie ludzkości, może mieć dobre skutki? „Zbrodnia” Kisielski odpowiada: nie. Dla niego, teoretyka nowoczesnego liberalizmu, jest rzeczą oczywistą, że organiczny rozwój i wzbogacenie się społeczeństwa następuje drogą rozwoju i wzbogacania się jednostek, że świat nie zbawia się siłą, że świat można zbawić tylko zbawiając samego siebie. „Wszystko — powiada mini-

ster w „Zbrodni” — lepsze jest niż tamto. Niż ci zbawcy świata, którzy chcą go przebudować z dziś na jutro.. Dobre chęci — powiecie? Oczywiście — ludzie zawsze mają dobre chęci — tylko szatan ma złe chęci..”

Stawiając tak sprawę Kisielski jest jednak smutny. Jest tragiczny — jak wtedy gdy pisze swe cotygodniowe „Pod włosy”. Dla niego bowiem jest rzeczą oczywistą, iż ci nieproszeni zbawcy świata „znowu powrócą — to pewne”, że żalony odkrywca prawdy Gromel niedługo będzie znowu musiał z nimi walczyć. Przyjdą z lewa czy z prawa, czy wreszcie „ze ładu” — wydani przez najgroźniejszą grupę episkowców — masonerie.

Ostatnio rozległy się głosy, że Kisielski za swą postawą arcyliberalną bezprawnie w gruncie rzeczy znajduje się w obozie katolickim. Opinia taka dowodzi jak bardzo „na jedno kopyto” pojmujemy katolicyzm. Niewątpliwie w katolicyzmie jest miejsce na ruch mający na celu doczesne zbawienie świata. Świadczy o tym choćby istnienie encyklik społecznych. Ale zbawienie to nie idzie przez siłę, i nie może mieć charakteru mechanicznego. Samo zrealizowanie zasad socjologii chrześcijańskiej ludzkości nie zbawi. Na tym polega trudność wprowadzenia w życie „De rerum novarum” czy „Quadragesimo anno”. Skutek encyklik będzie wówczas, gdy zmieni się człowiek, gdy ich zasady działać będą na podłożu moralnej odbudowy człowieka. W średniowieczu chrześcijaństwo zwyciężało społecznie, ponieważ społeczeństwo było chrześcijańskie. Dziś metody najbliższe wzorom zalecanym przez Kościół (Schusching, Salazar) zawodzą, ponieważ są to tylko metody bez odmiany społeczeństwa. Bismarck powiedział, że Kościół gdyby nie był istniał, winien byłby być stworzony. Ale Kościół stworzony przez Bismarcka nie byłby Kościołem.

I dlatego Kisielski jest w swym poglądzie katolikiem, gdy twierdzi, że zbawianiem nie zbawimy świata, który przestał być chrześcijańskim. To też lepszy jest powrót do moralności przyrodzonej, która jest wprawdzie bardzo prymitywna, ale niezawodna, niż stosowanie metod wypranych z moralności. Skoro odeszliśmy od Boga, wróćmy chociaż do człowieka — proponuje Kisielski. Ktoś, kto chce mieć klucz do filozofii Kisielskiej, powinien przeczytać uważnie „Zbrodnię w dzielnicy północnej”.

Leszcz.

Jan Dobraczyński

F I L M

„Casablanca” jest dokumentem impasu kinematografii amerykańskiej. Drażniące było w innych obrazach amerykańskich marnowanie najlepszych sił aktorskich w błahych, niemądrych melodramatach (np. „Guvernanka”). „Casablanca” demonstruje nowe oblicze powierzchowności i schematyzacji Hollywoodu. Scenariusz mimo to, że w pomysłach i najogólniejszym zarysie interesujący, jest rozpracowany naiwnie i bezmyślnie. Problemy, które są tam tak wyjątkowo powierzchownie rozwiązane, należą do rzędu najciekawszych. Wydaje się, że została tu zastosowana recepta filmów kowbojskich, tylko zamiast bandytów wprowadzeni zostali Niemcy (jakże do Niemców niepodobni), a zamiast niepokonanych bohaterów — konspiratorzy. W filmie kowbojskim nad prawdziwością bohaterstwa, którego siłą jest prymitywna z reguły szlachetność i rycerskość, nie zastanawiamy się. Autentyzm psychologiczny w ogóle nie wchodzi w rachubę. W filmie, który mówi o konspiracji i ważnych zdawałoby się konfliktach, szablon herosa bez skazy według recepty na rycerskiego i zwyciężającego człowieka drażni i nie przekonuje. Prawdopodobieństwo psychologiczne zastępuje frazeologia o sprawie i poświęceniu, frazeologia pusta i nudna. Wiktor Laszlo, uciekinier z obozu koncentracyjnego, czołowy przedstawiciel podziemia europejskiego, robi wrażenie pozera, a wszystko to, co scenariusz mu każe mówić, jest szluczne: patetyczne, da-

lekcie od surowości prawdziwej konspiracji. Na tle splotonych zagadnień wojennych pokazują nam dramat o sobisty Ilzy, Ricka i Wiktora Laszlo. Historia tego trójkąta tylko dlatego nie jest groteską, że Ilza jest Ingrid Bergman, a Rickiem Humphrey Bogart. Ingrid Bergman jest wielką i oryginalną artystką. Każdy jej film pokazuje jak bogatą skalę możliwości aktorskich rozporządza ta młoda piękna Szwedka. Umuje naturalność i nierównym opanowaniem miki i zawsze celowego gestu. Wspaniała gra każe nam chwilami wierzyć, nawet w nieprzekonywujące bezpośrednio bohaterstwo jej męża. Scenariusz i jej narzuca frazesy, ale trzeba podkreślić umiejętność interpretacji każdego słowa, umiejętność operowania głosem, wzbogacenie nawet nie atrakcyjnej roli rysami naturalnymi i szczerością. W filmie męża dłuższy, przetładowanie dziejami przedakcyjnymi, epizodami, które mają dać przekrój dramatycznego życia w Casablance, a które pozbawione prawdziwości nie tłumaczą się. Często zdarza się w filmach amerykańskich, że drugorzędne role są obsadzone mizernie. W tym filmie jest to tym większym błędem, że rys przekroju społeczeństwa, rozbudowanie tła i drugiego planu jest akcentowane, a przez złe obsadzenie zupełnie chybiły. W wielu epizodach ratuje sytuację Claude Reins — kapitan Renault. Ma może najwładzniejszą, najmniej sztywną rolę. Kapitan Renault dobrą grą i zręczną mimiką wzbudza sympatie wi-

Zofia Stefanowska

KSIĄŻKA O „POECIE I SZTUKMISTRZU”

Książka Kazimierza Wyki o Norwidzie „poecie i sztukmistrzu”¹⁾ stanowi kontynuację prac tego krytyka nad stosunkami Norwida do kultury, a specjalnie do sztuki. Problem „kręgu sztuk” w twórczości pisarstwa Norwida od lat kilkunastu rozwijał Wyka w licznych artykułach i odczytach. Książka jego o Norwidzie jest więc rezultatem długiego przemyślenia popartego starannym i ciekawie zebrany materiał. Wartość jej dla norwidologii jest oczywista.

Książka „Cyprian Norwid. Poeta i sztukmistrz” nie jest pracą analogiczną do książki Tadeusza Makowieckiego o „Poecie - malarzu” — Wyspiańskim. Zainteresowanie Wyki przyciąga głównie twórczość literacką „wędrownego sztukmistrza”, twórczość malarską ocenia on raczej ujemnie (por. artykuł „Rehabilitacja bardzo częściowa” *Przegląd Artystyczny* 1947 nr 3) i zajmuje się nią o tyle, o ile posłużyć ona może do wyjaśnienia specyficznych cech poezji Norwida.

Jeśli wolno raz jeszcze posłużyć się kapitalnym sformułowaniem Norwida o zadaniu krytyki, to o książce Kazimierza Wyki można by powiedzieć, że „otwiera okno” na piękność poezji norwidowskiej, choć można mieć wątpliwości, czy „wszystko stawia na właściwym miejscu”. (List do J. B. Wagnera). Największy wólar książki stanowi fakt, że jest ona odbiciem uważnej i inteligentnej lektury dzieł poety przez czytelnika obdarzonego nieprzeciętną wrażliwością estetyczną i spostrzegawczością. Materiał dowodowy w postaci cytatów został dobrany starannie, z wielkim pietyzmem i czujnością, opatrzone komentarzami trafnie na ogół ukazującymi wartości poszczególnych fragmentów i hierarchię ich znaczenia artystycznego. Nawet dla czytelnika jako tako zorientowanego w dorobku pisarstwa Norwida (a jakże mało jest bodaj takich) objawieniem stać się mogą piękności fragmentów nudnej *Rzeczy o wolności słowa* czy odstraszającego długością i trudnością *Quidama*. Stąd dla ludzi mało zżytych z Norwidem praca Wyki spełnia istotnie zadanie „otworzenia okna” przynajmniej w stosunku do pewnych właściwości organizacji poetyckiej pisarza.

Drugą niemałą zaletą książki Wyki jest rzeczowy, spokojny stosunek autora do omawianych tekstów. Jakby zgodnie z wygodami poety w cytowanym już przeze mnie liście do J. B. Wagnera, że: „—chwalić, ganić, zalecać, stręczyć, poddawać, na-

strajać, przedawać... etc... to do krytyków wcale nie należy”, Wyka potrafi mówić o pięknościach poetyckich nie poetyzując, nie podniecając się, z dokładnością i dystansem wytrawnego badacza. Miejscami nawet ten dystans sugeruje wrażenie niechętniej oceny pewnych stron osobowości Norwida. Takie wrażenie wywołuje pretensja, że „Norwidowi niedostawało” „dyscypliny artyzmu”, której nie umiał „podporządkować... zainteresowani naukowych... przetwarzając je w igraszkę i fantastykę”, że „swoje obserwacje naukowe traktował straszliwie serio, ze szkoda dla ich jedynej wartości: pierwiastka inwencji ocierającej się o fantastyczność” (s. 43—44). Podobną impresję budzi złośliwa uwaga, że Norwid „króciutką notatkę utajoną pośród komunikatów *Tempsa*, parę razy wspominał jako czyn odwagi publicznej. Jakby ktokolwiek, poza nim samym, zwrócił na tę notatkę uwagę” (s. 101). Te drobne uwagi mają w sobie coś z „poklepywania po ramieniu” i choć chlubnie świadczą o stopniu życia się z poetą, budzą zarazem podejrzenie, że Wyka nie zawsze uświadamiał sobie, jak bardzo „serio” traktował Norwid zarówno twórczość artystyczną jak działalność publiczną, jak obce mu było przetwarzanie rzeczywistości w „igraszkę i fantastykę”.

Nie da się już do książki o „poecie i sztukmistrzu” zastosować dalszy cytat z listu do J. B. Wagnera: „*rzeczy sztuki a nie okoliczności* do krytyki należą”. Zgodnie z podtytułem Wyka w analizie artyzmu Norwida wykracza poza tekst literacki — zadaniem książki jest nie tylko wykrycie głównych motywów tematycznych i stylistycznych poety związanych z zagadnieniami sztuki, lecz również wskazanie ich źródeł pozaliterackich. Książka więc wkracza w dziedzinę badań genetycznych: biograficznych i psychologicznych. Milczącym założeniem autora jest teza, że wielotorowość zainteresowań artystycznych Norwida musiała odbić się na jego twórczości poetyckiej. Do tej tezy nagina autor wszystkie zaobserwowane fakty, interpretując na jej korzyść zarówno zbieżności jak różnice między wyobraźnią artystyczną Norwida poety i Norwida plastyka. Stwierdza więc, że: „Gdyby komuś nie znającemu biografii Norwida przyszło się domyśleć tylko na podstawie jego poezji, że jej twórcą był malarz, rzecz bardzo wątpliwa, czy doszedłby do takiego wniosku. Przypuszczałby na pierwszym miejscu rzeźbiarza, może muzyka, ale malarza chyba tylko w ostateczności” (s. 108). Najprostszym wnioskiem z takiego (popartego dużym materiałem dowodowym) stwierdzenia byłoby uznanie odrębności

twórczości poetyckiej i plastycznej Norwida, autonomiczności tych dwóch dziedzin artystycznych, powiązanie zainteresowania rzeźbą z tłem historyczno-literackim np. z parnasizmem (o którym autor wspomina przy tej okazji, niestety nie rozwijając szerzej swego spostrzeżenia). Ale „po co tak prosto, kiedy można skomplikować”? Jeżeli dane biograficzne wskazują na brak szerzej działalności rzeźbiarskiej u Norwida, to widocznie poeta „chciał, a nie mógł” i nasycając poezję elementami rzeźbiarskimi kompensował nicem twórczą na polu rzeźby. Dajmy na to, zgadzamy się na takie tłumaczenie. Ale wtedy powstaną nieoczekiwane trudności z „odblaskiem malarstwa”. Bo okazuje się, że stosunek twórczości malarskiej Norwida i elementów malarskich w jego poezji nie jest odwrotnie proporcjonalny (jak z rzeźbą), ale właśnie wprost proporcjonalny. I w poezji i w malarstwie występuje skłonność do takich samych tematów (antyk), ujęć, zagadnień (światłości, linearność). Autor stara się ratować konsekwencję swego rozumowania. Owszem, są zbieżności między twórczością Norwida poety i Norwida malarza, ale tu można także zastosować freudowskie prawo psychologicznej kompensacji. Dlaczego? Bo autorowi książki o Norwidzie wydają się osiągnięcia poety na terenie sztuki plastycznej słabe. Stąd (sprzeczny z danymi biograficznymi) wniosek, że i Norwid był z nich niezadowolony i (świadomie czy podświadomie) dążył do większych osiągnięć w zakresie problemów malarskich w poezji. Upraszczałam oczywiście całą subtelną konstrukcję rozumową, ale bez wielkich nieścisłości da się ona do tego schematu sprowadzić.

Naginanie faktów do powyższej tezy odbija się ujemnie na tej, pasjonującej skąd inąd, pracy. Autor zdaje się zapominać, że wskazanie na rzeźbiarstwo, muzyczność, architektoniczność czy malarskość poezji może być bardzo trafną metaforą, ale tylko metaforą. Analizuje więc wartość estetyczną motywów np. rzeźbiarskich w poezji opierając się na podstawach teoretycznych odnoszących się do rzeźby, sformulowanych zresztą w sposób budzący poważne zastrzeżenia (teza o statyczności rzeźby, o jej nierozciągliwości czasowej, określenia tworzący *rzeźby* — s. 18—19). Najwięcej wątpliwości nasuwa traktowanie elementów muzyki u Norwida. Przede wszystkim uderza bez troskie mieszanie terminów muzycznych z literackimi w analizie „symfonii nocy” z *Kleopatry*. Jeśliby można dopatrywać się jakichś analogii z muzyką, to tylko z programową, ale jaką wartość ma zestawienie poezji naśladującej muzykę (jaką ma być „symfonia nocy”) z muzyką naśladującą poezję (jaką jest muzyka programowa). Słuszne w takich wypadkach wydają się zastrzeżenia cytowanego zresztą przez Wykę T. Szulca (*Muzyka w dziele literackim*, Warsz. 1937, s. 81—82) odnoszące się do analogicznej operacji przeprowadzonej przez Kleinera na „fudze” Grabca z *Balladyny*.

Zastrzeżenie nasuwa także ciekawy bardzo rozdział o roli instrumentu muzycznego u Norwida. Na podstawie bogatego materiału dowodowego wskazuje Wyka na wybitną rolę harfy w obrazowaniu poetyckim Norwida. Ale już wyjaśnienie genezy tego zjawiska budzi niepokój. Predylekcję Norwida do harfy tłumaczy Wyka „kształtem, chyba najpełniejszym wdzięku i linii ze wszystkich instrumentów muzycznych”, skojarzeniem „rozpiętej sieci strun” ze „stałym u Norwida widzeniem promienistości”, wreszcie „względem, że należy ona do najstarszych instrumentów muzycznych ludzkości” (s. 67). Na cóż to poszukiwanie złożonych przyczyn natury psychologicznej, które skłoniły poetę do posługiwania się tak bardzo konwencjonalnym w literaturze symbolem poezji wzniołej? Dlaczego Wyka jedynie lutni i lirze przyznaje „rolę konwencjonalnego rekwiwitu”? Dlaczego obrazu harfy nie można wytłumaczyć tradycją literacką? Wystarczy przecież wskazać na znaczenie harfy w utworze tak głośnym jak *Pieśni Ossjana*, na powtarzanie się tego motywu w ich licznym potomstwie literackim (żeby wskazać choćby *Lilę Wenedę* czy „ślepego harfiarza z wyspy Scio”).

I jeszcze jeden przykład swobodnej interpretacji tekstu Norwida. W związku z tezą o „łączeniu dźwięku i wyglądu w jedną całość” (s. 68) przytacza Wyka fragment z *Kleopatry* (akt II, sc. 1), twierdząc, że „wdźwięk i zgrabność starożytnej galery przełożyły się na obrazy takie, jakby galera była instrumentem muzycznym a morze medium, w jakim ona gra:

— — — Galera Królowej Egiptu Poruszyła się w porcie... gdy trzy ławy wiosel Urobionych na wzorzec narzędzi muzycznych, We falach zwiśle, akord wydały, i owy Kregami ich dopływa ucha...”

W cytowanym tekście niesposób jednak dopatrywać się metafory. Zgodnie z przekazami historycznymi Norwid przedstawia galereę Kleopatry jako dosłownie grającą przy poruszaniu wiosel. Przekonać o tym może nie tylko przytoczony fragment, lecz również uwaga sceniczna do aktu II sc. 1: „słychać muzykę wiodącą Kleopatry”, a także dwie inne uwagi w tekście opisujące tę muzykę. Przyznać trzeba jednak, że wypadek ten, nasuwający myśl o nieodkładnym przeczytaniu się w tekst Norwida, jest zupełnie niemal ośobniony.²⁾

Na ogół pracę Wyki cechuje wielka ostrożność w wypowiedzianiu sądów o charakterze generalnym, a zwłaszcza sądów wartościujących. Ma się często wprost żal do autora, że zebrał tyle tak trafnych spostrzeżeń nie pokusił się o syntezę, że najciekawsze wywody przerywa uwagami o „przekraczaniu ram niniejszej pracy”. Tak się rzecz ma z interesującą tezą o ewolucji stylu Norwida (s. 45) tak na ogół są potraktowane sądy o związkach historyczno-literackich poezji Norwida. Wszelkie oryginalne i jasne wypowiedzi o dominantach stylowych u Norwida obwarowuje od razu autor daleko idącymi zastrzeżeniami, nie dopowiada ich do końca. Dla przykładu weźmy bodaj marginesową uwagę o „skojarzeniach przedmiotowych, tym szczególnie ulubionym przez Norwida środkiem przedstawienia” (s. 74). Teza aż prosi się o rozwinięcie, połączenie z predylekcją poety do pewnych motywów obrazowych, której przecież poświęcona jest cała książka. Albo takie spostrzeżenie: „u Norwida lutnia i lira, chociaż grają rolę konwencjonalnego rekwiwitu, czasem z tej konwencji zostają odarte i przedstawione równie plastycznie jak harpa” (s. 70) Jaka szkoda, że autor nie rozszerzył tej uwagi i nie zajął się szczegółowiej problemem „dekonwencjonalizacji” utartych obrazów i zwrotów u Norwida. Zagadnienie rozległe, wciągające się niewątpliwie i ze skłonnością Norwida do etymologizowania (tak przez Wykę ganiąca, a tak zrozumiała na tle epoki) i z równie trafnymi spostrzeżeniami Wyki o swoistości spojrzenia Norwida na krajobraz, unikania przez poetę zbanalizowanych motywów architektonicznych (s. 86). Przy lekturze książki często odnosi się wrażenie, że wiele stwierdzeń dąłoby się lepiej ugruntować i rozumiąć, gdyby autor szerzej uwzględnił zagadnienie stosunku Norwida do konwencji literackiej.

Szkoda również, że Wyka jest tak ostrożny w wypowiedzianiu sądów estetycznych. Bo przecież sam stwierdzenie, że poezja Norwida nasycona jest rzeźbą, to nie koniec. Chciałoby się jeszcze wiedzieć, czy i w jakim stopniu obrazy rzeźby są plastyczne (bo niekiedy tak słusznie wskazana przez Wykę dążność do precyzji, gromadzenie szczegółów przeszkadza w odbiorze opisów poetyckich Norwida) i o ile w zamiarach artystycznych Norwida leżało stworzenie opisu plastycznego u Norwida nigdy prawie nie chodzi tylko o opis, co Wyka lapidarnie formuluje jako „niechęć dla wszelkiego opisywactwa” (s. 118). Wszystkie „skojarzenia przedmiotowe” są obarczone innymi, skomplikowanymi funkcjami — nastrojowymi i intelektualnymi. Dlatego stwierdzenie czy przeważają u Norwida opisy plastyczne, nie rozstrzygnęłoby jeszcze sprawy ich wartości estetycznej.

Bardzo ciekawa i przekonująca jest polemika z teorią „Norwida — poety ruin” (s. 100—106), zastanawia również interpretacja noweli *Ad leones* (s. 47—53). Zato nieformułowana ogólnie, a sugerowana rozróżnieniami w tekście uwagami teza o antyromantyczności poezji Norwida (s. 59, 61, 103, 106—107, 131) nie jest dostatecznie umotywowana. Ani ilość elementów rzeźbiarskich (których tyle występuje u tak „typowego romantyka” jak Słowacki), ani swoisty sposób traktowania muzyki, ani „rekonstruujący” stosunek do ruin, ani precyzja opisów, nie mogą stanowić tu racji dostatecznych.

Książka nasuwa wiele problemów, skłania do medytacji nad „poetą i sztukmistrzem”. Fakt ten jest najlepszym świadectwem jej wartości.

Zofia Stefanowska

1) Wyka Kazimierz: *Cyprian Norwid. Poeta i sztukmistrz*. Kraków 1948. Polska Akademia Umiejętności. 80 s. 166.

Młodzieńcy w szeregi kapłańskie na Odzyskanych Ziemiach Zachodnich

Maturzyści po maturze licealnej (również bez języka łacińskiego), pragnący poświęcić się pracy kapłańskiej jako kapłani świeccy na Pomorzu Zachodnim i Ziemi Lubuskiej mogą zgłaszać się do Wyższego Seminarium Duchownego w Gorzowie. Niezamożni otrzymują ulgi, a w razie potrzeby utrzymanie bezpłatne.

Do zgłoszenia należy dołączyć:

- 1) własnoręcznie dokładnie napisany życiorys,
- 2) świadectwo maturalne,
- 3) świadectwo chrztu św.,
- 4) świadectwo moralności, od ks. prefekta,
- 5) świadectwo lekarskie,
- 6) 2 fotografie.

Młodzieńcy natomiast, którzy mają tzw. małą maturę lub ukończyli pierwszą klasę licealną i pragną tak samo poświęcić się służbie kapłańskiej na Ziemiach Zachodnich, mogą zgłaszać się do Niższego Seminarium Duchownego w Gorzowie. Do podania o przyjęcie należy dołączyć ostatnie świadectwo szkolne i poza tym wszystkie inne dokumenty, jak wyżej.

Zgłoszenia należy kierować do Kurii Biskupiej w Gorzowie, ul. Drzymały 36.

Zgłoszenia do Małego Seminarium Duchownego w Słupsku

Młodzieńcy, którzy posiadają t. zw. małą maturę i pragną poświęcić się służbie Bożej, jakokapłani świeccy na Odzyskanych Ziemiach Zachodnich, mogą zgłaszać się do Małego Seminarium Duchownego w Słupsku, ul. Karola Szymanowskiego 5.

Do zgłoszenia należy dołączyć:

1. własnoręcznie dokładnie napisany życiorys,
2. świadectwo małej matury,
3. świadectwo chrztu św.,
4. świadectwo moralności od ks. prefekta,
5. świadectwo lekarskie,
6. dwie fotografie.

W kraju

KOŚCIÓŁ W GG

Toczący się w Krakowie proces Eühlera jest dobrą okazją do retrospektywnego spojrzenia na zacierające się z dniem każdym w naszej pamięci dni okupacji. Prasa polska wielokrotnie już pisała o prześladowaniach Kościoła przez rząd ex-gubernatora Franka. Obecnie również w obszernym streszczeniu podaje zeznania Kanclerza Kurii Arcybiskupiej w Krakowie ks. Stefana Mazanka, występującego w roli świadka procesu.

Właszcza przerażające są cyfry erytyczne przez ks. Kanclerza. Warto je przypomnieć. Na terenie samej diecezji krakowskiej aresztowano przeszło 100 księży, z których ponad 40% nie żyje. Ogółem w Polsce zginęło z rąk hitlerowców 1.811 księży oraz 521 zakonników i zakonnice.

Kuria krakowska ma szczególnie piękną kartę z owych czasów. Godna i bohaterska postawa Księcia Kardynała Adama Sapiehy jest dosłownie znana, żeby ją specjalnie przypominać. Natomiast nie wszyscy wiedzą o takich np. szczegółach, jak aresztowanie wszystkich pracowników Kurii w lipcu 1941 r. lub zażądaniu od Kurii wykazu ochrzczonych Żydów.

Niemcy zamknęli wszystkie seminaria duchowne, z modlitewników usunęli wszystko co przypominało Polskę. Charakterystyczne są słowa cytowane przez prok. Sawickiego z pamiętników Franka: „Mam dość zdrowego rozsądku, ażeby zrozumieć, że księża są naszymi śmiertelnymi wrogami”. W tym wypadku Frank wyjątkowo pisał prawdę. Prześladowanie Kościoła przez nazistów było logiczną, nieuniknioną konsekwencją ich ideologii. Hitlerizm, nie mógł ścierpieć jakiegokolwiek autorytetu, sam będąc rodzajem religii. Rzecz jasna fakt nierozważnego zrośnięcia Narodu Polskiego z Kościołem Katolickim był szczególnie groźny dla okupanta, który wiedział dobrze, że polskość może wykorzenić tylko łącznie z wiarą.

WCZASY 1948

Podano oficjalne cyfry dotyczące akcji wczasów w latach przeszłych i roku bieżącym. W zestawieniu z cyframi z r. 1945 przedstawiają się one doprawdy imponująco. Tak więc liczba Domów Wypoczynkowych wzrosła z 54 w r. 1945 do 636 w r. 47. Liczba miejsc na jednym turnusie wynosiła w r. 1945 — 6.560 gdy w r. 1948 wynosi 27.380. W r. 1945 skorzystało z wczasów 12.663, a w r. 1947 — 236.397 osób. Plan akcji wczasów przewiduje w tym roku wykorzystanie Domów Wypoczynkowych przez 400 tys. wczasowiczów. Oczywiście realizowanie tego planu jest możliwe tylko przy rozłożeniu urlopów wypoczynkowych na przeciąg całego roku.

Akcja wczasów to pozytywne ze wszechmiar novum, przed wojną u nas zupełnie nie praktykowane. Jeżeli się tego nie dostrzeże, lepiej powstrzymać się od jakichkolwiek słów krytyki. Dopiero po stwierdzeniu tego bezspornego faktu można i należy wskazać niedociągnięcia, które się Jeszcze tu i ówdzie zdarzają, a które w głównej mierze pochodzą z braku koordynacji między 200-oma przeszło ośrodkami dyspozycyjnymi polskich wczasowisk.

Nie sądzimy, że projektowane ujednoczenie przez poddanie wczasowisk administracji KCZZ będzie właściwym rozwiązaniem. To byłoby nazbyt mechaniczne wyjście z sytuacji. Czy nie lepiej powołać do życia jakiś organ nadrzędny, którego rola ograniczałaby się jedynie do ustalania głównych wytycznych i kontroli nad funkcjonującymi już ośrodkami dyspozycji?

Socjologiczna metoda badania dzieła literackiego, uchodzi w pewnych kołach za precyzyjną i niesłychanie odrywczą. Ale pożałujcie Boże, kiedy jej wyznawcy przystępują do formułowania wniosków. W tym momencie wychodzą na jaw same banałności. Doskonale uwagi w tej sprawie zawiera 22 numer „Nowin Literackich”.

W artykule zatytułowanym „Jeszcze o amerykańskim” Zbigniew Bienkowski daje szkołę naszym doktrynerom:

Mnie osobiście na przykład każdy „komentarz” Kazimierza Brandysa pobudza do uzupełniania prawd tam podanych. Nie chcę urażać niczyjej pewności siebie, ale o dła dobra sprawy, wspólnej przecież, zmuszony jestem zauważyć, że komentarze te ani nie wyjaśniają niczego, ani nie pouczają o czymkolwiek. O powieści amerykańskiej dowiadujemy się, że jest to produkt drobnomieszczaństwa żyjącego w popłochu i przerażeniu. Cóż za nauka z takiego stwierdzenia? Ten popłoch i przerażenie drobnomieszczaństwa wprawiany przy każdym niemal zjawisku kultury zachodniej jest zrostem słownym, który jedynie drażni uszy. Uszy tylko, gdyż tak jest pozbawiony treści, że do umysłu w ogóle nie dociera.

PRZERAŻENIE DROBNOMIESZCZANIE

Jest popłoch i popłoch. Jest przerażenie i przerażenie. Nawet gacie różnią się krojem i rozmiarami. A coż dopiero popłochy! A coż dopiero przerażenia! Inny jest strach przed samym sobą, inny przed głodem, a jeszcze inny przed bombą atomową. To, że drobnomieszczaństwo żyje w popłochu, nie znaczy znów wcale, aby wszystkie jego uczucia, wszystkie troski i przerażenia posiadały dla nas sens jednokowy. Stwierdzając „popłoch i przerażenie” jesteśmy zaledwie na progu sprawy. Do rozwiązania jej, czy tylko zrozumienia, nie zbliżymy się powtarzając te stwierdzenia.

Rozumiem intencje, Kazimierz Brandys komentarami swoimi pragnie polskiego czytelnika ostrzec przed Amerykanami. Umieszca na ich utworach „apteczny napis „zewnętrze”. To znaczy, że literatura amerykańska nadaje się tylko do tego, aby o niej pisać artykuły. Jak ostrzeżenie to jest bałamutne, dowodzi przytaczająca się sama zawartość. Nowela Steinbecka „Johny Niedźwiedź” wydrukowana kiedyś w „Kuznicy” została przez Brandysa potraktowana bardzo surowo. Brandys uczynił Steinbeckowi zarzut, iż ów nie zdemaskował drobnomieszczańskich przesądów i nie ukazał społecznego sensu tragicznej śmierci kochanki Chińczyka. Więc co? Miał w odpowiednich miejscach („w którym” w którym?” jak wołają pani Barbara u Dąbrowskiej) powsadzać zdania, w rodzaju tych, które komentarz Brandysa zawiera? To by dopiero była literatura!

A w innym miejscu czytamy: Mówiąc kultura zachodnia, starajmy się takie ogólniki precyzować. Zapewne, biorąc pod uwagę położenie geograficzne, na Zachodzie leży Francja, na Zachodzie także — Ameryka. Czyż na tej podstawie należy sądzić, że obie kultury francuska i amerykańska, należą do tego samego typu? Czy z tego należy wnioskować, że kultura Ameryki współczesnej jest tak, jak kultura francuska, dziełem i własnością drobnomieszczaństwa? Nie zamierzam całej kultury amerykańskiej rehabilitować w oczach, które widzą w niej zachodnio-europejski popłoch i przerażenie. Lecz właśnie literatura amerykańska dostarcza niemało danych na stwierdzenie, że zamiarem młodej Ameryki (tej anty-Ameryki) jest stworzenie nowego typu odczuwania i myślenia, typu przeciwstawnego wartościom wypracowanym w kulturze zachodnio-europejskiej. W twórczości współczesnych pisarzy amerykańskich objawia się nie tylko niechęć kontynuacji kultury drobnomieszczaństwa zachodnio-europejskiego, ale także zamiar jej zniszczenia. (Wyrażam się ściśle: zamiar). Inna sprawa, czy ten zamiar się udał, czy w ogóle jest możliwy do zrealizowania.

Dosyć. Zaimijmy się przerażeniem. Jesteśmy drobnomieszczaństwo, więc mamy materiał pod ręką. Możemy swój popłoch studiować. Na pytanie, jakie są zasadnicze doznania człowieka współczesnego, egzystencjalności odpowiadała: nuda i lęk. Niech będzie. Trzeba te rzeczy sprzeciwać. W o-

PRZEGLĄD PRASY

statnich numerach „Przeglądu Po-wszecznego” znajdujemy szereg wypowiedzi, bezpośrednio związanych z interesującym nas tu zagadnieniem. Omawiając twórczość Kierkegaarda, ks. prof. Sawicki stwierdza m. in.:

Z grzechem łączy się uczucia lęku i rozpacz. Kierkegaard poświęca im dużo uwagi, podkreślając podstawowe ich znaczenie dla życia ludzkiego. Pojęcia te pod jego wpływem weszły do współczesnej filozofii egzystencjalnej jako kategorie światopoglądowe, odkrywające najgłębszą tajemnicę bytu, tylko często w innym znaczeniu niż je miały u niego.

Lęk (strach, Angst) różni się od bojaźni (Furcht) tym, że przyczyną bojaźni jest coś nieokreślonego, niesamowitego, zagadkowego, coś zapadającego się w nicość. Jest to uczucie o dziwnej sprzeczności. Autor określa to uczucie, jako „sympatyczną antypatię i antypatyczną sympatię”. To „coś” budzi lęk, przeraża a jednak równocześnie dziwnie ku sobie przyciąga, choćby przez wzniesienie ciekawości, podobnie jak się to dzieje przy zawrocie głowy nad brzegiem oceanu: tajemnicza jakaś siła ciągnie do przerażającej głębi! Ten lęk odgrywa wielką rolę w życiu moralnym. Duch ludzki odczuwa podobny lęk wobec popędu zmysłowego, który działa z dziwną sprzecznością, wabiąc rozkoszą a grożąc utratą wolności ducha. Najściślej zresztą lęk ten łączy się z grzechem. Budzi się on przed grzechem, kiedy przestrzega nas przed nim a równocześnie do niego kusi, lub rodzi się po grzechu, jako niepokój sumienia przed sądem i karą Bożą.

Lęk łatwiej prowadzi do rozpacz. Rozpacz zaś, podług Kierkegaarda, tkwi w duszy każdego człowieka, który nie znalazł jeszcze spokoju w Bogu. Nawet człowiek, nie zdający sobie zupełnie z tego sprawy, może być nieraz w głębi duszy dotknięty tą straszną chorobą rozpacz.

Lęk zaś i rozpacz stanowią naturalnie uczucia bolesne, a jednak i one mogą i mają być zbawienne. Mają nas wyprowadzić ze stanu sytego zadowolenia i pływacza życia codziennego do refleksji i opamiętania się. Tylko bowiem odczuwając własną słabość i nicość odnajduje człowiek drogę do Boga. „Bóg — pisze on — tworzy wszystko z nicości. Co Bóg chce odbudować, naprzód niweczy” (Z dzienników). „Rozpacz jest chorobą, o której jednak można powiedzieć, iż nieszczerliwy, kto jej nigdy nie zaznał — a zarazem to choroba najniebezpieczniejsza, jeśli człowiek się z niej nie zdoła wyleczyć”. I dlatego religia chrześcijańska właśnie ten niepokój wywołuje w duszy, by ją do głębi wstrząsnąć i zbawić.

LĘK U HEIDEGGERA

„Całokształt stosunku człowieka do świata — pisze ks. Sawicki — można z zdaniem Heideggera, określić jednym słowem, jako troskę (Sorge). W stosunku do rzeczy niesobowych, jest to troska o coś; w stosunku do społeczeństwa — troska o kogoś.

Dochodzi do tego jeszcze troska o własny byt.

W związku z tym, rodzi się wewnętrzne nastawienie człowieka wobec życia, ogólny nastrój duszy. W głębi duszy każdego człowieka tkwi jakiś tajemniczy lęk (Angst) twórcza, która jest najważniejszym odzwierciedleniem istoty egzystencji. Koncepcja ta nawiązuje tu do Kierkegaarda, u niego jednak lęk pozostaje w ścisłym związku z grzechem i wiecznością, a u Heideggera zaś — z bytowaniem w świecie (Weltangst). Jest to w pierwszym rzędzie lęk przed światem, nie przed tym lub owym niebezpieczeństwem szczególnym, lecz przed istnieniem w świecie w ogóle, bo ten w gruncie rzeczy jest czymś groźnym, niesamowitym. Jest to po wtóre lęk o istnienie w świecie, które w każdej chwili skończyć się może — zatem lęk przed śmiercią.

Tajemniczy ten żywioł lęku, odkrywa dopiero analiza wnikaćca do głębi duszy. Obraz bowiem życia codziennego przedstawia się na pierwszy rzut oka zupełnie inaczej. Człowiek pospolity całkiem oddany światu, czuje się w nim jak u siebie w domu. W ciągu życia tworzy się wyraźna zażyłość ze światem. Ale to bezmyślnie odda-

nie się światu — jest raczej ucieczką człowieka przed sobą i tajemnicą bytu. Kryje się więc i w nim ów życiowy lęk. Nie należy jednak tego lęku unikać. Kto śmiało patrzy rzeczywistości w oczy — odczuwa wprawdzie wyraźny lęk wobec grożącej nicości, ale tą właśnie drogą dochodzi do głębszego poznania bytu.

Mimo wszystko jednak, życie nie przestaje być bytem ku śmierci. Ale człowiek na ogół mało i niechętnie myśli o własnej śmierci. Ponieważ chwila zgonu jest niepewna, sama śmierć staje się czymś co kiedyś naraz przyjdzie, aczkolwiek jeszcze aktualnie nie jest. I w tej właśnie starannej ucieczce przed własnym zmierzchem, objawia się ukryty lęk śmierci.

Właściwa zaś postawa życiowa polega na zrozumieniu znaczenia śmierci i wyraźnym lęku przed nią. Wszakże z lękiem tym, który bynajmniej nie musi być uczuciem strachu, może iść w parze gotowość a nawet radosna „wolność ku śmierci”. To spokojne stoickie nastawienie wobec ryzyka śmierci jako możliwości nieistnienia, jest szczytem mądrości życiowej w filozofii egzystencjalnej.

TU MÓWI SARTRE!

Jak w koncepcji Kierkegaarda i Heideggera, tak i w ujęciu Sartre'a. Lęk i rozpacz należą do egzystencji ludzkiej.

U Kierkegaarda chodzi głównie o lęk przed grzechem i po grzechu — u Heideggera o lęk przed śmiercią i nicością; u Sartre'a zaś lęk łączy się z wolnością, względnie z wolną decyzją. Jest to lęk moralny. Człowiek odpowiadając za siebie i ludzkość całą, musi powziąć decyzję bez wszelkiej zewnętrznej wskazówki. Na domiar złego, przychodzi jeszcze niepewność przyszłości i bezsensowność życia. Stąd to rodzi się lęk i poczucie całkowitej samotności w obliczu każdej wielkiej decyzji.

PSYCHOLOGIA STRACHU

Sartre jest nie tylko filozofem, ale i literatem wywodzącym swoje teorie z konkretnych ludzkich doświadczeń. Kilka tygodni temu przeczytaliśmy w Kuznicy jego świetną nowelę „Pod ścianą”. Autor ukazał w niej uczucia ludzi skazanych na śmierć. Oto cenniejsze fragmenty:

CO CZUJE SIĘ PRZED ROZSTRZELANIEM?

Zrozumiałem nagle i uniosłem rękę do twarzy, byłem złany potem. W tej piwnicy, w środku zimy w przeciągu, pociełem się. Przeciągnąłem dłońią po włosach, które były zlepione potem. Jednocześnie sportrzyłem, że moja koszula była wilgotna i lgnęła mi do ciała: połał się ze mnie od co najmniej godzin, a ja nic nie czułem. Ale to nic uszło uwagi tej belgijskiej świ-

ni; widział krople potu spływające po moich policzkach i myślał: to są oznaki stanu przerażenia niemal patologicznego; a sam czuł się zupełnie normalny i dumny z tego, ponieważ odczuwał zimno. Chciałem wstać, żeby mi dać w mordę, ale zaledwie zdołałem wykonać zarys jakiegoś gestu, kiedy mój wstyd i wściekłość zniknęły; opadłem na ławkę z obojętnością.

Zadowiedem się pocieraniem szyi chusteczką, czując teraz pot, który spływał kroplami z moich włosów, co było niemiłe... Zresztą przedko zrezygnowałem z tego pocierania to było nadaremne: moja chusteczka nadawała się już do wyjęcia, a pocenie nie ustawało. Pocięły się również moje pośladki i wilgotne spodnie przyklepały się do ławki.

Mały Juan przemówił nagle: — Pan jest doktorem? — Tak — odrzekł Belg. — Czy cierpi się... długo? — Co?... kiedy?... Ależ nie! — powiedział Belg ojcowstkim tonem — to trwa bardzo krótko.

Miał taką minę jakby uspokajał pacjenta, który płac.

— Ale ja... mnie mówili... że trzeba często aż dwu salw.

— Czasami — powiedział Belg, potrząsając głową. — Może się zdarzyć, że pierwsza salwa nie narusza żadnego z organów vitalnych.

— To wtenczas muszą jeszcze raz nabijać karabiny i jeszcze raz celować?

Zamylił się i dodał ochryptym głosem:

— To musi zabrać trochę czasu!

Okrutnie bał się cierpienia, nie mógł myśleć o niczym innym: to było normalne w jego wieku. Ja nie myślałem w ogóle: to nie strach przed cierpieniem sprawiał, że pociełem się.

Zaczęłam cicho mówić. Patrzyłem na Belga.

— Co? O co ci chodzi? — Stanie się z nami coś, czego nie mogę zrozumieć.

Dziwna woń rozchodziła się wokół Toma, Zdawało mi się, że jestem bardziej wyczulony na zapach niż zazwyczaj.

Zaśmiałem się szyderczo:

— Zrozumiesz za parę godzin.

— To nie jest jasne — powiedział z nutą uporu. — Pragnę być odważnym, ale nie zaskoczyłoby, żeby przy najmniej wiedział... Słuchaj, wyprowadzą nas na podwórze. Tak, Faceci ustawiają się przed nami, Ilu ich będzie?

— Nie mam pojęcia. Pięciu, albo ośmiu. Nie więcej.

— Dobrze. Niech będzie ośmiu. Ktoś krzyknie: „Cel” i zobaczysz osiem karabinów wycelowanych we mnie. Przypuszczam, że będę chciał wleźć w mur, że będę plecami pchał mur z całych sił, ale on się temu oprze. Tak jak w koszarach. To wszystko mogę sobie wyobrazić. Ach! I to jak jeszcze!

— No tak! Ja też mogę to sobie wyobrazić.

— To musi sprawiać piekielny ból. Wiesz, że oni celują w oczy i w

Listy do Krystyny

Najlepszym wydawał mi się artykuł Putramenta pt. „Notatki o Oświecieniu” w n-rze 23 „Odrodzenia”. Putrament był w Muzeum Państwowym w dawnym obozie i spotkał tam wycieczkę szkolną. W artykule swoim poddaje krytyce pokazywanie obozu młodzieży i dzieciom. Oto co pisze:

„... Dziecko musi być bez troski. Jeśli niemądry pedagog sądzą, że pokazując ten widomy obraz fałszywym nauczycielom do dzieła nienawidzi do tegoż — to się głęboko myli. W tym wypadku lepiej może skutkować zwykła lekcja w klasie. Natomiast wycieczka do Oświecienia jest nonsensem.

Po pierwsze wycieczka w roku szkolnym jest zawsze świętem. Po drugie Oświecienie zbyt skomplikowanym jest zjawiskiem, aby kilkumiesięczny wyrostek mógł wiele z tego zrozumieć. Ryzykuje się przy tym jedną rzecz bardzo groźną, że zrozumienie tylko część Oświecienia, tę właśnie najbardziej rzucającą się w oczy i szczególnie przez przewo-

dników podkreślana: jak łatwo jest masowo zabijać ludzi.

Dewaluacja życia ludzkiego jest chyba najszerszym doświadczeniem jakie nasza młodzież wyniosła z okupacji... Bez trudu wyobrażam sobie szesnastoletnich podrostków, którzy na propozycję wycieczki na Majdanek odpowiadają: Ilu tam zginęło? Pięćset tysięcy? Nie pojade. Byłem w Oświecieniu, tam dopiero...”

Chłopcy w wieku dojrzewania mają psychologię kanibalów. Zbyt mało robimy dzisiaj, aby z tych kanibalów wyrósł — po prostu ludzie.

Zapewne słyszysz i czytasz nieraz o upowszechnieniu kultury. Ale co tu upowszechniać? Póki w teatrze owcze źródła, na filmie prymitywy batalistyczne, w księgarni dzikuńskie przygody Bolesława Chrobrego...

Przerynam, bo widzę jak uśmiechają się Twoje małe usta, mrużysz prawe oko, aż cię cały policzek mar-

LITERACKIEJ

usta, żeby zmniejszyć twarz — dodał złościwie. — Czuję już te rany; od godziny mam ból w głowie; bóle, które będę czuł jutro rano. Ale co potem?

Rozumiałem świetnie o co mu chodziło, ale nie chciałem tego okazywać. I ja nosiłem w moim ciele te bóle, niby tłum małych bliźni. Nie mogłem się z tym pogodzić, ale byłem jak on: nie przywiązywałem do tego wagi.

— Potem — rzekłem rubasznie — będziesz gryzł trawę.

Zaczął mówić już tylko dla samego siebie; nie spuszczał Belgą z oczu; ten zdawał się nie słuchać. Wiem po co tu przyszedł; nie obchodziło go to co myśleliśmy; przyszedł obejrzeć nasze ciała, ciała które żywcem konały.

— To jak w koszmarach — mówił Tom. — Chce się o czymś myśleć, ma się cały czas wrażenie, że już, że zaraz się zrozumie, potem wymyka się, ucieka i zaczyna się od nowa. Mówię sobie: potem nie będzie nic. Ale nie rozumiem, co to ma znaczyć. Są chwile, że już już prawie... a potem znów się wymyka i znów zaczynam myśleć, o bólu, o kulach o hukach, Jestem materialistą, przysięgam ci. I nie wariuję. Ale coś w tym wszystkim się nie klei. Widzę mojego trupa; to nie jest trudne, ale to JA widzę, MOIMI oczami. Musiałbym dojść do tego, żeby myśleć... żeby myśleć, że nie zobaczę więcej nic, że nie usłyszę więcej nic i że świat będzie toczył się dalej dla innych. Nie jest się stworzonym do takich myśli, Pablo.

Niemniej jednak zauważyłem i ja, że przedmioty mają dziwny wygląd; były zabarte, gładsze i mniej gęste niż zazwyczaj. Wystarczyło, żebym popatrzał na ławkę, lampę, abym poczuł, że mam umrzeć. Oczywiście nie mogłem mojej śmierci wyraźnie określić myślą, ale widziałem ją wszędzie, na rzeczach, w sposobie w jaki rzeczy niknęły i zachowywały dystans, dyskretnie niby ludzie, którzy mówią szepem u toża konającego. SWOJEJ śmierci dotykał Tom na ławce.

Moje ciało! Widziałem jego oczami, słyszałem jego uszami, ale to już nie byłem ja; pocito się, drżało samochcąc, ja wypierałem się go. Byłem zmuszony, ażeby zdawać sobie sprawę, co się z nim dzieje, dotykać go, patrzeć na nie, tak, jakby to było ciało kogoś innego. Chwilami jeszcze je czułem, czułem zanikanie, rodzaj zapadania się, podobny do uczucia jakiego doznaje się w samolocie, który pika, albo też czułem bicie serca. Ale to nie pochodziło mnie; wszystko co pochodziło z mojego ciała miało niedźwiny, niepewny wyraz. Najczęściej było spokojne, nie dawało się we znaki i nie czułem już nic prócz czegoś w rodzaju ciężaru jakiejś plugawej obecności; doznawałem uczucia jakimś był przyparty do ogromnej kupy robactwa.

Mały Juan zaczął krzyczeć: — Ja nie chcę umierać, ja nie chcę umierać!

Przebiegł przez całą piwnicę z podniesionymi w górę ramionami po tym łkając, opadł na siennik. Tom patrzył na niego ponurym wzrokiem i już nawet nie miał ochoty go pocieszać. Właściwie było to zupełnie zbyteczne; mały tobił więcej od nas hałasu, ale był mniej tym wszystkim dotknięty. Był jak chory, który gorączką broni się przeciw swojej dolegliwości. Gdy gorączki już nie ma — stan jest wiele cięższy.

Płakał: widziałem, że sam rad sobą się litował: o śmierci nie myślał. Przez sekundę, jedną sekundę, ja też miałem ochotę płakać z litości dla siebie. Ale stało się coś przeciwnego, rzuciłem okiem na małego, zobaczyłem jego chude ramiona drgające od płaczu, i poczułem brak w sobie ludzkości: nie stać mnie było na litosc ani nad sobą ani nad innymi. Powiedziałem sobie: „chcę umrzeć przywoicie”.

Tom wstał i usadowił się pod otworem w suficie, aby wypatrywać dnia. Ja czułem się pokrzepiony, chciałem umrzeć przywoicie i tylko o tym myślałem. Ale po nad tym, odkąd doktor powiedział nam godzinę, czułem czas, który mknął który kropla po kropli spadał.

Było jeszcze ciemno gdy usłyszałem głos Toma: — Słyszysz ich? — Tak.

Maszerowali przez podwórce. Po jaką idą cholera? Przecież nie będą strzelali po ciemku.

Po chwili już nie nie słyszeliśmy Powiedziałem do Toma, — Oto dzień.

Pedro wstał ziewając i zdmuchnął lampę. Powiedział do towarzysza: — Zimno, jak diabli.

W piwnicy zaczęło szarzyć. Usłyszeliśmy strzały w oddali.

— Zaczyna się — powiedziałem do Toma — robią to pewnie na tym podwórzu od tyłu.

Tom poprosił doktora o papierosa. Ja nie chciałem; nie chciałem ani papierosa, ani alkoholu. Od tego momentu nie przestawali strzelać.

— Zdajesz sobie z tego wszystkiego sprawę? — spytał Tom. — Chciał coś jeszcze dodać, ale zamilkł i patrzył na drzwi. Drzwi otworzyły się i wszedł porucznik z czterema żołnierzami. Tom upuścił papierosa.

— Steinbock? — Tom nie odpowiedział. Pedro pokazał na niego. — Juan Mirbal? — To ten na sienniku. — Wstać — rzekł porucznik.

Juan nie drgnął. Dwa żołnierzy wzięło go pod pachę i postawiło na nogi. Ale gdy tylko go puścili, upadł z powrotem.

Żołnierze zawahali się. — Nie on pierwszy mdleje — powiedział porucznik — wy dwaj go zanieście. Na górę jakoś sobie poradzimy.

Odwrocił się do Toma: — Idziemy. Za mną... Tom wyszedł między dwoma żoł-

merzami. Dwa pozostałych niosło za nimi małego, trzymając go pod pachami i kolanami. Nie był zemdłony. Oczywiście miał szeroko otwarte i izy spływały mu po policzkach.

A TERAZ O RZECZACH NUDNYCH

Nuda jest odwrotnością lęku. Rodzi się w atmosferze jedностajności. Siegnijmy do żywych przykładów. Pan Rondo interesujący felietonista z Nowin Literackich, zacytował niedawno opinię, że nasza prasa jest nudna, że wszędzie czyta się to samo w naiwo oryginalnych wariantach. Polemizując z Kisielem napisał:

Mógłby mnie ktoś może posądzić o ryzykowną obronę tezy, że nasza prasa nie jest nudna albo, że na jej jednostajność nie można poradzić. Przenigdy. I ja zarzucam jej to samo co Kisiel, inaczej jednak motywując swój sąd krytyczny. Wydaje mi się mianowicie, że monotonia pism nie od teorii politycznych, ale odesłaniem od konkretnego życia. Podczas, gdy owo życie, naprawdę barwne, przybiera u nas tości postać, stwarza za każdym razem tysiąc problemów, gazety i tygodniki ślizgają się po samej jego powierzchni, i z wyjątkiem, znow malizowanej, uzgodnionej przez legion komisji i komitetów, już związanej z ideologicznym „całokształtem”. Przerost deklaracji, przemówień, artykułów najogólniej teoretycznych i dlatego jednak brzmiących daje się zauważyć w każdym niemal piśmie, tymczasem w życiu, nim się jakas sprawa nareszcie uzgodni i „ucukruje”, podlega długiej i namiętnej dyskusji, podczas której skonfrontowane zostają różne stanowiska, odmienne — z praktycznego, nie z ideologicznego punktu widzenia.

Następuje rzeczowa konkluzja:

Dobre dziennikarstwo polega między innymi na zastępowaniu ludzi, którzy mają powody, aby pisać o konkretnych zagadnieniach swojej pracy i swego życia, ale nie mają czasu lub możliwości. Przeczyjmy nasze gazety. Znajdziemy w nich kilkadziesiąt podobnie brzmiących wypowiedzi robotników o ogólnych wartościach „wysięgu pracy”, ale jakże mało związanych z nim problemów praktycznych. Powiecie, że owi robotnicy w taki właśnie ogólny sposób formułowali swoje myśli. Być może, że nie potrafili inaczej, nauczyli się przecież mówić o nich właśnie z lektury dzienników. W ten sposób prasa stała się węzłem, który pożera własny ogon. Czy z braku innego pokarmu? Nie, raczej już dlatego, że gdzieś indziej nie potrafiła go dostarczyć.

DLACZEGO JESTEŚMY NUDNI?

Odpowie nam na to pan Jack, który w tychże Nowinach Literackich ogłosił wnikliwy i świetny artykuł p. t. „Niedzielní pisarze”. Z prawdziwą satysfakcją, przytaczamy zeń obszernie fragmenty:

Dzień powszedni jest u jednych wypełniony pracą w biurze jakiejś instytucji, w najlepszym zaś wypadku zajęciami redakcyjnymi, w prasie codziennej, periodycznej, literackiej. Powszednie noce poświęca się pisaniu artykułów. I tak toczy się literacki światek, ten, który ma dźwigać naszą nową powojenną kulturę.

Kiedys w rozmowie między kolegami po piórze, padło zdanie, że z życiem prawdziwym i z prawdziwymi ludźmi mieli oni okazje stykać się w konspiracji, w fabrykach, szmuglowali towar czy broń, pracowali na roli. Poznawali w ten sposób na własnej skórze ludzkie charaktery, mechanikę życia społecznego, poznawali kraj. Dziś nie mają zielonego pojęcia ani o kraju, ani o powojennych ludziach z prawdziwym zdarzenia, ani o realizacji przemian społecznych i gospodarczych, zachodzących w Polsce. Bo cóż, ich dzień i często noce, są wypełnione pracą papierową, czy to w biurze, czy w organizacjach przeróżnych, czy wreszcie w redakcji. Znają wiele teorii, założeń, haseł. I na tym ich doświadczenie się kończy.

Siedzi więc literat na takim urzędzie, ostrzy ołówki, grzeje krawężek gumowy, na którym siedzi i z zdumieniem myśli o swoich kolegach biurowych, nie mających szczęścia być literatami, którzy po pracy wróca do domu, położy się na kanapie i będą wycoczywać, lub pój-

dą do kina; o 10 wieczór złożą stannianie swoje wyswiecone ubrania i usną spokojnie. Literat zaś po powrocie do domu rzuci się na rękopis artykułu, napisanego w nocy, męczony i rozdrażniony będzie się sobie dziwił, że coś tak potwornie słabego mógł w ogóle napisać, będzie kreslił i przerabiał w pośpiechu, by przed wieczorem oddać pracę do druku. A później zagłębi się w lekturę prasy, następnie przeczta książkę, którą ma zrecenzować i znów do późnej nocy będzie siedział nad nowym rękopisem — bo przecież jest literatem, bo sam siebie chce o tym przekonać, że poza słabymi komunikatami o hodowli jedwabników potrafi coś naprawdę dobrego stworzyć.

Obraz nie byłby pełny, gdyby nie wspomniał o licznych zebrań, konferencjach, uroczystościach, na które już na tych łamach narzekał Eleuter, a które mają do to siebie, że ciągną się w nieskończoność i każdy mówi o czymś innym.

Pisarz musi mieć wiele czasu nie tylko w okresie pisania. Musi mieć czas na to sławne „niepróżnujące próżnowanie”, na zagładanie pod cudze dachy, jak to czynił Asmodeusz. Musi mieć czas na myślenie, na własne myślenie i nie zastępowanie go lekturą.

Pisarz musi wiele próżnować, włożyć się po świecie, z ludźmi gawędzić, poznawać, poznawać, poznawać. Musi się stać częścią swego środowiska, czy to będzie wieś, czy miasto, czy osada fabryczna. Lecz nie wolno mu podchodzić do obiektów swych doświadczeń z gotowymi koncepcjami. Musi pozwolić na siebie działąć otoczeniu, poddawać się promieniowaniu spraw spoza swego własnego kręgu. A później zamknąć się w pokoju, z którego nie słychać ani bulgotania zatkanego zlewu, ani radia, ani psa — i spokojnie trawić swoje doświadczenie, i w tym momencie znów stawiać się pisarzem, i prostować swój kręgosłup i formować swój materiał.

Fantazje? Ale trzeba je snuć, wypisywać, stwarzać wciąż i wciąż temperature wrzenia dokoła poruszonego problemu, by ani pisarze, ani ci, od których ich los zależy, nie przeszli nad obecnym stanem do porządku dziennego.

Całe upowszechnienie literatury w Polsce, wielkie miliony, wydane na rozwój czytelnictwa, nie wskórają nic, jeśli pisarza nie uda nam się wyprząć z kieratu, jeśli nie da mu się tych samych praw do pracy, jakie mają inżynierowie, lekarze, słuźarza i buchalterzy.

W podobnym tonie kilka miesięcy temu wypowiedział się Słowo Powszechne. W artykule zatytułowanym: „U źródle absurdu” Longin Szafarski napisał:

Tragedią życia kulturalnego jest to, że rozpedzona machina wydawnicza wymaga bezustannej produkcji, stałych, wyczerpujących się szybko dostawców. Żadna inwencja twórcza nie jest w stanie nadążyć za biegiem maszyn drukarskich. Od czasu, kiedy natchnienie zostało zmechanizowane, a życie z pióra przybrało charakter gospodarki rabunkowej w stosunku do własnych zasobów, produkty wyjątkowe stały się naszym pokarmem codziennym. Pisarz chwycony w kołowrót terminów i naglących zamówień społecznych, przestaje ulegać prawom życia wewnętrznego. Dzieła jego nie mają czasu spokojnie dojrzewać. Nie duchowa potrzeba lecz doping pieniężno - giełdowy decyduje o eksploatacji talentu.

Najwięksi artyści pisali wtedy, kiedy rzeczywiście mieli coś do powiedzenia. Dzisiejsi wyrobniacy pióra popisują się prawie co tydzień z rezultatem ogólnie wiadomym. Granica pomiędzy dziennikarstwem i literaturą została, niestety, zatarta. Z tego że felietony i artykuły wytwarza się masowo, stale i codziennie, nie może wynikać, aby inne gatunki podlegały działaniu praw, określających istnienie zjawisk jednorodnych i przemijających. Ten kto usiłuje być stale dowcipny lub w regularnych odstępach czasu oświecać publiczność wierszami, przedzie czy później wyczerpie się i wykołosa. Technika, zmuszająca nas do nadprodukcji dóbr kulturalnych sprawia, że wyjaławiamy się szybciej, niż by to mogło mieć miejsce w warunkach pozbawionych mechanicznego dopingu i presji wywieranej przez koła, które bez przerwy się kręcąc nadają naszej pracy przyspieszenie pozbawione sensu. Sztuka nie zmości szybkości i nerwowego pośpiechu. Dzieła powstające pod naciskiem terminów i machin, ukazują nam swoją wewnętrzną jałowość. Zazwyczaj rodzą się martwe.

W świecie...

SWIAT I NIEMCY

Nie minęła trzecia rocznica umowy poczdamskiej, statuującej pełną współpracę czterech mocarstw przy regulowaniu sprawy niemieckiej, w słuźnej obawie, iż różnica zdań i metod w przygotowaniu pokoju nie tylko poźleli Niemcy na dwie części, ale stanie się źródłem podziału Europy — a oto stoimy wobec faktu dokonanego zarówno odnośnie podziału Niemiec, jak i Europy. Anglosasi zadowolili się jako zwolennicy Niemiec federalnych, ZSRR — jednolitych.

Anglosasi zarządzili w Niemczech zachodnich odrębną reformę walutową; na co ZSRR, broniąc swą strefę okupacyjną przed zalewem bezwartościowej starej marki — też przeprowadziła błyskawicznie reformę walutową na swoim terenie. W Berlinie rozpoczęły w ten sposób kursować dwie odrębne waluty: inna w okręgach trzech państw zachodnich, inna w okręgu radzieckim. Berlińska Rada Miejska (niemiecka) uznała ważność obu walut. Organizacje społeczne i zawodowe zapowiadają strajk przeciw tej decyzji Rady Miejskiej i domagają się uznania tylko waluty radzieckiej.

Wreszcie Anglosasi zainicjowali rozmowy w sprawie niemieckiej, prowadzone tylko pomiędzy CZĘŚCIĄ zainteresowanych, czym była konferencja w Londynie — a nie wszystkimi, jak być powinno. Wobec tego kraje europejskie, położone w południowej, środkowej i wschodniej Europie, a mające odrębny punkt widzenia na sprawę niemiecką — wzywały konferencję „ośmiu” w Warszawie, która sprecyzowała ich punkt widzenia.

Warszawska uchwała ministrów spraw zagranicznych Polski, ZSRR, Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii, Węgier, Bułgarii i Albanii powzięta dnia 24 czerwca 1948 po stwierdzeniu: a) niezgodności w stosunku do Poczdamu charakteru uchwał londyńskich, b) dokonanego faktu rozbiicia Niemiec na dwie części, czego przejawem jest odrębna reforma walutowa przeprowadzona przez państwa zachodnie, c) intencji mocarstw zachodnich zachowania jak najdłuższej okupacji wojskowej w Niemczech, d) prowadzenie przez mocarstwa zachodu kampanii rewizjonistycznej, oraz e) podporządkowywanie gospodarki Niemiec celom USA i Wielkiej Brytanii — ministrowie zażądali:

a) odnowienia ścisłej współpracy przy rozwiązywaniu zagadnienia niemieckiego między czterema mocarstwami i wspólnego zrealizowania do końca pełnej remilitaryzacji Niemiec;

b) ustanowienia kontroli czterech mocarstw nad przemysłem Zagłębia Ruhry, co zapobierze wykorzystywanie tego przemysłu przez kartele amerykańskie, dążące do restytucji jego potencjału militarnego;

c) utworzenia na mocy porozumienia „Wielkiej Czwórki” demokratycznego rządu niemieckiego, z którym zawarty zostanie traktat pokojowy, po czym w terminie rocznym nastąpi winno wyprowadzenie wojsk okupacyjnych z terenów Niemiec;

d) opracowania wykonania przez Niemcy ich zobowiązań reparacyjnych.

Jednocześnie stwierdzono po raz wtóry nienaruszalność zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Odkładając omówienie szczegółowe sprawy niemieckiej w jej nowej fazie do jednego z najbliższych numerów — zwracamy uwagę naszych czytelników na pokojowy ton uchwał warszawskich, które są jeszcze jedną próbą apelowania o jedność działania aliantów wojennych, tym samym o jedność Europy. Chaos polityczny i gospodarczy panujący dziś w Niemczech wprowadził bardzo dotkliwie rujnuje Niemcy ekonomicznie, ale równocześnie pozwala im przez wygrzywanie jednego alianta przeciw drugiemu realizować swe nadzieje na plany odwetowe. A to w żadnym razie pokojowy w Europie nie sprzyja.

szczy, i trącając mnie drobnym łokciem mówisz: „...Najbardziej tego nie lubię, jak Pan jest taki moralista...”

Nie zawsze surowość i prymityw — to moralność. Chcę, żebyś znenawidziła ochryple dźwięki kiepskiej muzyki w głośniku — i nauczyła się rozumieć melodię pierwszej strofy Beniowskiego!

Twoje listy są słabe, mówi mi jeden z przyjaciół, i podsuwa co dzień w redakcji komplet „Nowin Literackich”. Czytaj Eleutera do Felicji. To są listy!

Biore komplet posłusznie i czytam na chybił trafił w n-rze 24 „Drugi list z Prowansji”. List kończy się pięknym opisem ciepłego wieczoru:

Już się zbliżał wieczór i słowik próbował swoich pierwszych nut w zaroślach nad kanałem. Na pobliskiej srozie postuch spędzał olbrzymie stado owiec, była owa „pasterska godzina”. Hiszpanie pracujący w ogrodzie moich przyjaciół myli młode kartofle w dużym basenie pod oieniem starej figi, na której już rosły duże zielone owoce. Pachniały zarośla jaśminem i wiedeńską lewkonią. Ziemia prowansalska, stara ziemia miłości drżała lekko pod owym zmysłowym, ciepłym pro-

mieniem, jaki tam wstaje pod wieczór i wkradając się za kołnierz i w rekawy osacza całe ciało przenikliwą pieśczęcią. Chłopcy na podwórzu przestali grać w bule, dziewczyna w sąsiednim „mas” zaśpiewała jak słowik. Od strony północnych podnosiło się coś jak gdyby mgła, i sierp księżycy poprzez owe wgardzone przelirzyste chmurki świecił zupełnie różowo.

Tak — doskonale to rzemiosło. Nie ma tu ani „skutkowania”, ani „nie-nawości do tegoż” jak w śmiałym i mądrym artykule Putramenta. Pięknie toczzone zdania są bez zarzutu. Ale dziwne mi się wydają nieraz w tych listach zakończenia.

Oto jak się kończy ów drugi list z Prowansji:

„Pomyślałem, że księżyc taki sam świeci nad moim domem, hen, na północy. I było mi dobrze, mimo wszystko, Felicjo, wierz mi i z czułością myślałem o Tobie”.

To „wierz mi” — wydaje mi się rewoltujące. Czy tak trudno Felicji uwierzyć, że Eleuterowi było dobrze, czy też że myśli o niej z czułością?

A gdzież artykuł najgorszy? Najgorsze są „Szpilki”, a dlaczego, napiszę o tym w liście następnym.

Erasmus

Nowość
Jan Dobraczyński
**„WYBRAŃCY
GWIAZD”**
powieść
str. 304 zł. 800,-
Do nabycia we wszystkich księgarniach

(PK)

TYDZIEŃ KULTURALNY

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY...

OPUBLIKOWANA została już częściowo lista dyrektorów teatrów na sezon 1948/49.

Pierwszy urzędowy komunikat przyzwyczają nas powoli do nowego stanu rzeczy.

Zmiany są duże. Panami na trzech teatrach zostali Iwo Gall (Gdańsk, Gdynia i Sopot) i Krasnowiecki (Katowice, Sosnowiec, Opole). Krasnowiecki z trudem dawał sobie radę z jedną sceną katowicką, jak będzie teraz — zobaczymy.

Zniknęły z listy nazwiska dyr. dyr. Stąski (Opole) i Gąssowskiego (Gorzów Wlkp.). Likwidacji ulegają stałe teatry w Jeleniej Górze i w Gorzowie. Obsługę Jeleniej Góry powierzone grupie wyjazdowej Teatru Dolnośląskiego z Wrocławia, a Gorzowa Teatrowi Polskiemu z Poznania.

Największy lament powstanie w Toruniu, gdzie Horzyca ustępuje miejsca Rodziewiczowi, który przychodzi tu po raz wtóry nic wielkiego sprzedając nie dokonawszy. Horzyca przechodzi do Poznania.

O Teatrze Miejskim w Bydgoszczy nic nie wiadomo. Adwentowicz osiedla się ostatecznie w Łodzi (Teatr Powszechny).

Sensacją stanowi wiadomość, iż Dąbrowski zatrzymuje jedynie Teatr im. Słowackiego. (Kraków) Teatr Stary obejmuje Woźnik. Niewzruszenie na swoich stanowiskach trwają Schiller i... Szyfman, który otrzymuje drugą scenę: kameralną.

Z Miejskich Teatrów Dramatycznych Wraszawy wyodrębnione zostają „Rozmaitości”. Dyrekcję obejmuje Damięcki: Zmiany, zmiany, zmiany.

Czy dobre, czy słuszne, czy potrzebne... trudno sądzić nie znając przyczyn. Boimy się trochę zmian zbyt gwałtownych i zbyt pochopnych.

„Dziennik literacki” omawiając nową sytuację teatrów stołecznych pisze: „teatrem wielkiego repertuaru dramatycznego pozostaje nadal Teatr Polski. To znaczy, że Hołuj, że Kruczkowski, że Pristley to „wielki repertuar dramatyczny”. Pozwolimy sobie być innego zdania.

PIĘKNY KONKURS

T ROCHE to tak wygląda jakby dzisiejszy nasz „tydzień” poświęcony był prawie wyłącznie sprawom teatralnym. Tak się jednak złożyło, że na tym odcinku dzieją się w tej chwili rzeczy naprawdę istotne.

Warszawa przyjmuje miłych gości. Zjechało się tu 83 zespoły świetlicowe, by w eliminacjach finałowych walczyć o zaszczytną palmę pierwszeństwa.

Trudno mówić o tym wydarzeniu bez ciepła i radości. Jak nas informują w konkursie tegorocznym przewinęło się w skali ogólnokrajowej około 100.000 wykonawców. Wzrost zainteresowania pracami świetlicowymi to objaw bardzo pomyślny.

Znacznie bardziej interesującym objawem jednak jest radykalna zmiana na odcinku repertuarowym. Może ktoś mieć zastrzeżenia czy istotnie twórczość Słowackiego nadaje się do opracowań świetlicowych. Wątpliwość ta może stanowić bardzo interesujący temat do dyskusji. Jedno jednak da się powiedzieć z całą pewnością: lepsze jest to niż pielęgnowa-

nie szmiry. A tak bywało niejednokrotnie. Nie ludzimy się. Tak jest jeszcze gdzieś niegdzie i dzisiaj. Widac jednak poprawę. To napawa otuchą.

FESTIVALE FILMOWE

FILM Polski ogłosił terminarz międzynarodowych festiwalu filmowych, podając jednocześnie udział Polski w tych konkursach. Poślemy więc swoje krótkometrażówki do Locarno, do Mariąskich Łazni i do Wenecji. Liczymy tu na sukcesy.

Gorzej z filmami pełnometrażowymi. Do Wenecji jedzie „Ulica Graniczna”. Kto ją widział? Jakiej są głosy krytyki? Czy film jest naprawdę dobry? Ciekawe jest że prapremiera tego polskiego filmu ma się odbyć znowu podobno w Pradze. (Nie na Pradze tylko w Pradze). Festival w Wenecji rozpoczyna się 11 sierpnia. 6 tygodni czasu.

KSIĄŻKA O GÓRALSKIM PODZIEMIU

NAKŁADEM Wydawnictwa Zachodniego w Poznaniu ukazała się książka Włodzimierza Wnuka pt. „Walka podziemna na szczytach”.

Autor książki znany jest naszym Czytelnikom. „Walka podziemna na szczytach” porusza zagadnienia góralskie na tle lat okupacji.

KONIEC SEZONU

STOLECZNA Filharmonia zakończyła w ubiegły piątek sezon 47/48 pożegnalnym koncertem. Sezon był burzliwy i pełen narozmaitszych kłopotów. Dyrektor Filharmonii dwukrotnie zdaje się rezygnował ze swego stanowiska nie mogąc znaleźć zrozumienia dla potrzeb instytucji.

Filharmonia cały sezon pracowała w cudzym lokalu. Mimo te trudności sezon był bardzo udany. Orkiestra Filharmonii osiągnęła poziom bardzo wysoki, a kierownictwo instytucji postarało się zapewnić zwolennikom możliwość wysłuchania co najlepszych solistów europejskich. Batuta dyrygenta wędrowała niemal z piątku na piątek w inne, zawsze dobre ręce co niewątpliwie przyczyniło się do urozmaicenia. Zdała swój egzamin także i publiczność nawiedzająca piątkowe koncerty dość licznie.

Tylko jedna sprawa nie wiele ruszyła z miejsca, to odbudowa gmachu na Jasnej. Ale to już nie jest winą ani dyrektora, ani orkiestry, ani solistów, ani dyrygentów.

Jan Czekanowski, „ZAGADNIENIE ANTROPOLOGII”. Zarys antropologii teoretycznej. Księgarnia Naukowa T. Szczęsny i Ska, Toruń, str. 108 plus 1 nrb., cena 300 zł.

Przyznanie nagrody naukowej tygodnika „Dziś i Jutro”, nota bene największej dotąd w Polsce, profesorowi Janowi Czekanowskiemu, zbiegło się z ukazaniem się na półkach księgarskich dwóch jego nowych dzieł naukowych.

Ostatnio omawialiśmy tutaj jego pracę pod dużo mówiącym tytułem „Polska - Słowiańszczyzna”. Zarys antropologiczny. Teraz przyjdzie nam zaznajomić naszych czytelników z „Zagadnieniem antropologii”. Jest to zarys antropologii teoretycznej, jak głosi podtytuł, i daje synoptyczne ujęcie wykładu antropologii ogólnej, które nasz znakomity uczonec miał po ostatniej wojnie światowej na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie, a uprzednio przez wiele lat na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

Wykłady te przeredagowane z czasem przez autora, dzięki inicjatywie wydawniczej dra Stanisława Lama, ukazały się jako wyciąg z kursu antropologii etnicznej w książce „Człowiek w czasie i przestrzeni”.

W następnych latach wykłady te opracowane przez znakomitego uczonego i jego uczniów, a później docentów: Jana Mydlarskiego, Stanisława Klimka i Stanisława Zejmo-Zejmisa i prof. T. Sulimierskiego złożyły się na wielkie zbiorowe dzieło pt. „Człowiek, jego rasy i życie”. Tom I ukazał się w serii wspólnych wydawnictw księgarni Trzaska, Evert i Michalski w Warszawie, zaś drugi tom, w większej części już wydrukowany, został zniszczony przez Niemców, tak, że trzeba będzie zrekonstruować na podstawie brulionu-rękopisu dra Klimka.

Zagadnieniu antropologii są nie tylko podręcznikiem naukowym, ale poważną lekturą, którą się czyta z nieślabym zainteresowaniem, jak wszystkie rozprawy i książki tego znakomitego uczonego.

W zakończeniu chcieliśmy zwrócić uwagę na pewien szczegół. Każdego zapewne uderzy przedziwne ciepło i serdeczność z jakim odnosi się nasz wielki uczonec do pamięci i osiągnięć naukowych swoich uczniów, swoich najbliższych współpracowników, entuzjastów antropologii polskiej, docentów lwowskiej wyższej uczelni. Autor poświęcił swoją ostatnią książkę pamięci: por. dra Stanisława Klimka, poległego w bitwie pod Umiasowem, we wrześniu 1939 roku, dra Salomona Czortkowera, zamordowanego w ghetcie i dra Stanisława Zejmo-Zejmisa, zamęczonego w Oświęcimiu.

Książkę tę wydała młoda, a już zasłużona księgarnia naukowa T. Szczęsny i Ska w Toruniu, mająca już w swoim dorobku kilka poważnych pozycji wydawniczych. Życzę by jej należało powodzenia w pracy.

St. P.

Maria Buyno - Arcłowa: „Koledzy”. Powieść dla młodzieży. Wydanie III. M. Arct, T. Gieszczykiewicz. Wrocław - Kraków 1947.

Z prawdziwą przyjemnością można określić mianem dobrej książki „Koledzy” — Marii Buyno-Arcłowej.

Znana i zasłużona autorka licznych powieści dla młodzieży, powieści, których myślą przewodnią było zawsze

Nabyć, czytać, nie czytać?...

zwycięstwo dobra i tym razem pozostała wierna swoim wytycznym.

Dobroć, odwaga, wytrwałość i sprawiedliwość, usymbolizowane w postaciach 4 geniuszy, zjawiających się przy końcu książki, są głównymi motorami działania dwóch jej młodzieńskich bohaterów. A że losy tych chłopców są opowiedziane w sposób żywy i pełen napięcia, barwnym, poloczystym językiem, przeto cenne zalety ich charakterów — tym szczerzej i głębiej przemawiają, tym większe wywierają wrażenie. Gdyż wzrosła wychowawcza książka, jak zresztą jej wartość w ogóle, polega nie tylko na wyborze treści, na temacie, choćby najpodnioslejszym, ale przede wszystkim na sposobie, w jaki ten temat został opracowany. Nie przemawia i nie przekonują nawet najsłabsze idee, podane sucho i bezbarwnie. P. Buyno-Arcłowa ustrzegła się tego błędu. Jej książka kipi życiem, przykuwa uwagę.

Przed oczami czytelnika przesuwają się galeria przeróżnych typów chłopięcych, dobrych i złych — jak zwykle w życiu — zdolnych w masie nawet do okrutnych wybryków, ale równocześnie skłonnych do wzruszeń, podległych dobremu impulsom. Pewne uproszczenia sylwetek (idealnie dobry Stefan, wyrachowany i obłudny Witold) nie rażą, zwłaszcza, że idealny Stefan również popełnia pewne błędy, choć czyni je w najlepszej intencji. Sylwetka matki — bezgranicznie dobrej — jest zrównoważona surowym i niewyrozumiałym, choć prawnym i szlachetnym panem Bardzikim. Nie należy zapominać, że książka jest pisana dla dzieci, że właśnie do dzieci więcej przemawiają postacie nawet przejawskrawione, niż zamazane. Dociekania i analizy psychologiczne są dla dziecka raczej niedostępne, woli zdecydowane, wyraźnie zarysowane sylwetki, będące syntezą jakichś zamierzeń czy właściwości. Jest to może zdrowy odruch naturalny — dążenie do nieskażonych form, które później w życiu często się zatracą.

P. Buyno-Arcłowa, „Rodziewiczówna dla młodzieży”, jest mistrzynią w ukazywaniu szlachetnych typów, borykających się ciężko z życiem, by w końcu wyjść zwycięsko z beznadziejnej zwałoby się nieraz walki. Pod słowami stryja Stanisława: „Tylko natury słabe, nędzne, mogą szukać leku na swe cierpienia w ukryciu, jak strusia kryjąc głowę. Charakter silny idzie przebojem, nie zegnę się, choćby wszystkich miał przeciwko sobie. Byłoby w pierś bifo nu serce czyste: bez skazy!”... podpisała by się na pewno autorka „Dewajtis” i „Strasznego Dziadunia”.

Dziś książki w rodzaju „Koledzy” mają specjalne znaczenie — znaczenie, powiedziałabym, społeczne. Książka, głosząca kult najwyższych wartości, niezmiennych dla wszystkich epok i dla wszystkich ludzi, zasługuje na szczególne uznanie.

Sc.

Władysław Dunarowski, „Ludzie spod miedzy”, sp. księg. „Nauka”, Bydgoszcz, 1947, wyd. II, str. 274.

O Dunarowskim wypadło już raz pisać, omawiając jego powojenną nowość „Leżąc krzyżem”. Wspominało się wtedy o głębokim realizmie przedstawianych przez niego sytuacji i ludzi, o umiejętności wyzbycia się i reymontowskiego i państwotwórczo - gałajowego szablonu w traktowaniu wsi, o kompozycyjno-językowych zaletach, które chwila mi tylko grożą przejściem przez przesadę ku wadom. Tu można więc znowu tamtych uwag powtórzyć. „Ludzie spod miedzy” są książką wzniesioną od „Leżąc krzyżem”. Zawierają one dwadzieścia krótkich opowiadań, połączonych w jedno wspólne typem bohatera, budzącego się do życia człowieka wsi. Dunarowski tym tomem debiutował przed wojną. Już wtedy zwrócił na niego uwagę Putrament w „Sygnałach”. Tymofiejew w „Wymiarach”, już wtedy „Słowo” i „Fantana” sypały pochwałami. Dziś, gdy autorowi udało się wznowić debiut i podkreślić go wydaniem drugiej, omawianej już przez nas książki, nazwisko jego z trudem przedziera się przez tłum uznanych „pięwoców wsi”.

Wśród nich nie ma dla Dunarowskiego miejsca. Idzie on samotna, ale o wiele piękniejszą drogą. Wieś dla niego to nie traktor-spółdzielnia, ale człowiek. Ten bez obstępów, bez retuszu literackiego, ten nagi, chwilami okropny, prawie zawsze nieszczyśliwy i skrzywdzony, a zawsze silny i pełen wiary.

Technika pisarska Dunarowskiego potrafi świetnie usłużyć jego koncepcji ideologicznej. Postanowił dąć literaturze współczesnej obraz prawdziwie wiejskiej nędzy i niesprawiedliwości, i środki jakimi operuje w „Ludziach spod miedzy” prawie bez zarzutu spełniają to zadanie. Nie znajdziemy tam malarskich, szeroko rozstawianych płócien. Wieś redukuje się do kurnej ciasnej chaty. To wyzbycie się ornamentyki, pozorna uboższyna spisów jest głęboko uzasadnionym pociągnięciem. Uwaga skupia się na ludziach, na Jędrzejku, obliżującym łapczywie z brudnych łap dziadkowy miód, na Florciu, na Hance, na bolesnych konkretach wsi. Brak opisów falujących zbóż i złotem proszącym skowronków, ale nie brak opisu wnętrza ludzkich, drze miących w nich ukochań i zniechęceń, wątpliwości i nadziei. I tu znowu stanął Dunarowski przed pokusą ulokowania w tych wewnętrznych odczuciach jakichś pięknie brzmiących treści, jakichś bojowych sloganów o narodzie, czy ludzkości. I znowu nie uległ podszeptom pisarskiego szablonu. Treści chłopięcych ukochań i zniechęceń, nadziei i wątpliwości związał z problemem burzącego głodem żołądka, zaczerpał zielestem dwustu przez długie lata oszczędzanych złotych. Już w pierwszym opowiadaniu omawianej obecnie książki („Jego gwiazda”) styka-

my się z tak przedstawioną prawdą chłopskiej duszy.

„Wszystkie jego myśli oraz nerwy słuchu są w łbie sąsiadnie, gdzie sanitariusze rozrzucają słomę na legowiska dla rannych. Jedno jest pewne, że chyba nie przywieźli ze sobą tej słomy. Więc dziadek czuje jak na jego mózg spada jakiś przyćmak, jak leje się war, jak siekiera rozłupuje ten mózg na wiele części. Jeszcze nie takiego się nie stało, ale już za chwilę może stać się to, czego w przedkości niesposób było przewidzieć: jedno szarpnięcie i po wszystkim. Snopek otworzy swe wnętrza, a obce ręce chwycą węzełek, całe dwie stówki, wszystkie oszczędności dziadka. Strach ponysięć. A potem co? Skąd wziąć w razie potrzeby? Na dzieci patrzeć i od nich wyczekiwać zmiłowania? Nkomo się nie przelewa. Zresztą zbyt słone jest ludzkie miłosierdzie”.

Na przykładzie tym można by wykazać wiele innych specyficznych dla Dunarowskiego właściwości pisarskich. Podkreśliwszy jednak bolesny jego realizm, zwięźlenie problematyki chłopskiej do kęsa szperki, czy dwustu złotych — a przez to samo rozszerzenie jej do problemu walki o podniesienie człowieka z poziomu zwierzęcej niemal wegetacji na poziom życia, podkreśliwszy apologeta nęmal konsekwencje w powtarzaniu beznadziejności i wywołania bunt i odrodzenia, warto jeszcze zwrócić uwagę na językowe walory książki. Nie ma w niej nic ze szminkowej literackości. Zdania takie, jak „zbyt słone jest ludzkie miłosierdzie”, przenośnie także, jak „snopek otworzy swe wnętrza” nie rażą sztucznością w kontekście zdań prostych, żywych gwarów dialogów, czy umiarkowanej w prowincjonalizmach mowy pozornie niezależnej.

Te wszystkie walory każą w nowych książkach Dunarowskiego, których i jemu i naszej literaturze życzymy jak najwięcej, oczekiwać nowych, a ciekawych zjawisk. Wtedy też nadarzy się okazja do szerszego i szczerzego omówienia naszkicowanych tu zaledwie uwag.

Jan Maria Gisges, Opowieści krajobrazu, poemat partyzancki, Kielce, 1948, Oddz. Wiejski Z. Z. L. P., str. 64.

Próba poetyckiego ujęcia fragmentu walk partyzanckich, podjęta przez nieznanego nam bliżej autora, wypadła bardzo ciekawie. Interesuje ona, oczywiście, nie ze względu na swoją zawartość treściową, ale ze względu na formę. Zawartość treściowa obejmuje opis trzech, czy czterech wypadów partyzanckich na okoliczne placówki niemieckie. Powiedzieć trzeba już na początku, że opis tych akcji jest bardzo mglisty, niedostateczny, całkowicie chybiony epicko. Sytuacje naszkicowane jak by palcem po wodzie nie dają wyraźnego tła opisywanym wydarzeniom, zacierając je i subiąc w nie-

wyrażnym następstwie czasowym i już całkowicie nieuchwytną dyslokacją przestrzenną. Są fragmenty, kiedy autorowi udaje się ich treścią zainteresować czytelnika (do takich należą — szósty, dziesiąty, piętnasty i siedemnasty rozdział), ale są to tylko fragmenty. Nie brak momentów, które denerwują gadulstwem i bezcelowymi powtórzeniami (rozdział drugi) lub męczącą dosyć tanim patosem (jak skalkowane z „Pana Tadeusza” zakończenie siódmego rozdziału).

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń poemat Gisgesa czyta się do końca z wielkim zainteresowaniem, a po ukończeniu odczuwa się satysfakcję kontaktu z utworem ciekawym i godnym przeczytania. Tłumaczy to jego forma.

Autor ujął całość poematu w dwa dziesięć pięć krótkich rozdziałów. Wersyfikacyjnie są one niejednolite: od sonetu (najslabszej zresztą w poemacie struktury, zdyskwalifikowanej rozdziałem pierwszym i przedostatnim), poprzez swobodną oktawę (rozdział czwarty) i sekstynę (rozdział piąty i szósty) do wiersza wolnego i niemal prozy poetyckiej. Ale nie ta różnorodność form wersyfikacyjnych stanowi ów przyciągający walor poematu Gisgesa. Obciąża go ona raczej zarzutem szkolarskiej ambicji odrabiania ćwiczeń z poetyki i snobizowania na temat, że strofa jest mu taktem nie wzdziadłem. Urok „Opowieści krajobrazu” kryje się nie w ich kameleonowości składowej, ale w ich języku poetyckim, w bogactwie czasami niezwykle trafnej metafory i porównania, zastanawiającego niezwykłą świeżością i odwagą. Przykłady, oczywiście, nie wszystkie tłumaczą, ale warto ich kilka przytoczyć. Oto jak ryby zagarnięte siecią z pierwszego napotkanego przypadkiem rozdziałku wybrane metafory: chmur wrzosi, ruda światła, nieostygłe echo, czepigi gwizdu. Albo z innego porównania: pelargonie jak wspomnienie, krople jak słowa, wiara jak bagnet.

Porównania te i metafory wyrwane z kontekstu poetyckiego tracią swoją wymowę, ale nawet w takiej izolacji świadczyć muszą o autorze „Opowieści krajobrazu”, jako o kimś kto nie z przypadku chwycił za pióro. Wiele można by przytoczyć urywów, wskazać fragmentów poematu czarujących swoją odkrywczością opisu. Zamiast tłumaczyć długo i zawiłe jego ciekawą technikę, przyrzynamy się lepiej choćby początkowo: szóstego rozdziału, który reprezentuje przeciętny poziom utworu Jana Marii Gisgesa: „Księżyc wiewioryczym mignął ognem wśród sosen. noc rozjaśnił na chwilę i jakby pod strachem trzasku wozów i szeptów lasu umknął w chmur wrzosi postrzępione. Puchacz najdalszym hukaniem wylądował lęk z roztopionej nudy światła —”

gdy przestał — płama zgasła.“
Korzystając z przytoczonego fragmentu — ale tylko jako z przykładu i to nie najwyrazistszego — warto zwrócić uwagę na kilka słabych stron autora „Opowieści“.

Przede wszystkim — nie może się poszczycić zwyczajem w walce z rygiem muzyczności. Jego poezja jest głucha, pozbawiona uroków zmienności rytmu, pozbawiona w

ogóle rytmu. Na poziomie poezji pozwala jej przebywać jedynie specyficzny rytm obrazów, niezwykła ich intensywność, wyrazistość i siła poetycka.

Po drugie — Gisges staje się tej siły niewolnikiem. Urzekła go wspinała pogoń za obrazem, słowo jego wynaturza się powoli przez to, że spełnia funkcje wyłącznie malarskie.

Gisgesowi już w ramach jego poematu zagraża manieryzm słowa poetyckiego. Jego odkrywcość zapuszcza się często do granic przesady. Widać, że śmiałość odkrywczy zarażyły bezczelnością zbawienne w małych dawkach, ale zębne jako życiodajny napój wyraziły poetyckiej kuchni awangardowej. To się odczuwa, gdy np. Niemiec „runął strza-

skawszy kwaśny grymas w martwą strunę“.

Po trzecie — Gisges nie uciszył jeszcze w sobie właściwego debiutantom niepokoju wersyfikacyjnego. Jego kameleonizm stroficzny jest próbą zamaskowania braku własnej formy, własnego oblicza poetyckiego. Przyjdzie i na to czas. A do tej pory uda się może Gisgesowi zwalczyć

śmieszna i dokuczliwa maniera enjembent, która mając w intencjach autora chyba — rozwiązać trudności budowy stroficznej niektórych części poematu, przyczyniła się do skutku wręcz odwrotnego.

Wady jednak nie przekreślają zalet. Tomik Gis, i jest zjawiskiem obiecującym i ciekawym. Autor błędzi jeszcze po manowcach, ale są to manowce poezji.

Zyg. Lich

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

6

— Niech się pan nie martwi, wszystko się załatwi — powtarzał. Sprawy spadkowe nie wyglądały jednak zbyt różowo i nie dlatego, aby między spadkobiercami miały wybuchnąć spory. Okazywało się jednak, że senator był wielkością, gdy chodziło o zbieranie grosza, o tworzenie majątku, lecz nie wtedy, gdy szło o zarząd tym, co posiadał. On, tak zawsze drobiazgowy, gdy groził wydatek kilku złotych, czytający i prenumerujący jeden tylko dziennik, aby oszczędzić na pozycji „prenumerata dzienników“, uważany i przez Annę i głównie przez Laurę za rodzaj Harpagona, nie umiał opanować położenia, gdy chodziło o tysiące. I Ksawery i Konrad nie znali właściwego obrazu rzeczy. Senator nie znoślił zapytań z tego zakresu nawet ze strony Ksawerego. „To są moje pieniądze i proszę bardzo, aby się nikt do moich postanowień nie wtrącał. Dostaniecie wszystko po mojej śmierci.“ Mecenasa Goślicki pokazywał Ksaweremu piśmienne zlecenia ojca, datowane po większej części w ostatnim roku w Włukach, aby sprzedać, możliwie bez rozgłosu, cały pakiet akcyjny ze wszystkich przedsięwzięciach, w których senator był zainteresowany.

— Więc powinien być pieniądze — zauważył Ksawery.

— I właściwie są — powiedział mecenas nieco urażonym tonem. W każdym razie nieboszczyk pan senator nie miał manii fundowania klasztorów ani muzeów. Część sum, wycofanych z przemysłu, znajdźcie panowie na koncie bankowym w Pradze.

— W Pradze? A cóż to za pomysł?

Goślicki wymownym ruchem rozłożył ręce.

— Sam odradzałem, mówiłem już raczej o Szwajcarii... Pan znał nieboszczyka senatora i jego upór. — Ale, że pan o tym nie wiedział. — Mecenasa uderzył się aż ręką w czoło.

Ksawery wzruszył ramionami.

— Ojciec miał zwyczaj prowadzić sprawy finansowe sam. Uważał mnie za człowieka, pozbawionego zmysłu praktycznego.

— W Pradze zostały ulokowane kwoty z pierwszej serii sprzedaży papierów, naturalnie przed angeschlossen. Senator kładł nacisk na tajemnicę, twierdził, że musi się wycofać z interesów, zresztą przypominam sobie, że istotnie wątpił wtedy w pana zmysł — jakby to powiedzieć — praktyczny. Taka i była geneza zakupu Włuk.

— Praktycznie zostają więc Włuki i willa w Warszawie.

— I hipoteki, i hipoteki — przypomniał mecenas. — Co do banku, rzecz prosta, próbowaliśmy, ale te pieniądze są zamrożone, tak się dziś te rzeczy określa i właściwie nadal nie ma mowy. — Ale i to, co zostaje, nie jest mało. Włuki — piękny majątek.

— Twierdzą — przerwał Ksawery — że sumy hipoteczne są mało realne, równie jak ten bank.

— To zależy, to zależy — oświadczył z godnością mecenas. — Nieboszczyk senator sam wybierał lokaty. Jako długoletni radca prawny interesów senatora zgłaszałem czasami zastrzeżenia, lokowanie gotówki na procent, nie, to nie był procent lichwiarski, uważam za mało korzystne. Senator twierdził, że w zamian są to lokaty pewne. Można mieć swoje zdanie. Nie widziałem jednak powodu, aby się posuwać aż tak daleko, żeby składać plenipotencję. Wszyscy podziwialiśmy zawsze talent — nim — ekonomiczny pańskiego ojca. I sam wybierał te lokaty, proszę — niech pan zajrzy do korespondencji, tu jest

wszystko. — Aż się dziwiłem, gdzie znajdował te lokaty — jakiś młyn na zapadłej prowincji, to hurtowy skład żelaza, to znowu majątek ziemski.

— Świetnie, ale ten hurtowy skład żelaza był chyba bez poręczenia hipotecznego?

— O, to stara historia. Naturalnie, i tu nieboszczyk senator brzydko wpadł — mhm — na kilkanaście tysięcy. Muszę panu powiedzieć, skoro pan tego nie wie, a dowie się pan szczegółów, gdy zapozna się pan z całością tych papierów, że pożyczanie pieniędzy ludziom, czasami na wesele, czasami tylko na słowo, było istną manią, jeżeli tak można powiedzieć, zacnej pamięci senatora. Mój Boże, ludzie mają swoje dziwactwa. Zwykle zawiadania naszę kancelarię i my dalej troskaliśmy się już o te pieniądze. Ale zdarzyło się parę razy, że nic nie można było zrobić. Ten skład żelaza, zresztą firma była żydowska, zbankrutował. Potem wtedy płacili trzydzieści procent, sporo wtedy przepadło. I jeszcze później, kilka razy.

— Opowieść pana, panie mecenasie jest dla mnie wprost dziwna.

Goślicki uśmiechnął się.

— Wierzę... Już różnych widywałem klientów w tej kancelarii. I pochlebiam sobie, gdyby nie ja. Senator obywatel się bez notesu i doprawdy, nigdy nie zdawał sobie sprawy z całości stanu swoich interesów. Był oryginałem po trosze i po trosze miał temperament artysty. Broń Boże, nie żeby pisał — mhm, wiersze lub malował, ale jakby to określić — owa jego niedbałość? Nigdy się do niej nie przyznawał, nie znoślił na ten temat słowa — mhm, prawdy.

— Nie będę dziś tego wszystkiego — Ksawery wskazał ręką — wertował. Kiedy indziej.

— Jak pan uważa — schylił głowę Goślicki. — Informowałem senatora co miesiąc pisemnie o biegu jego spraw, robiłem co mogłem. My przecież musimy być dla klienta rodzajem robota, ale robota, który ma i myśl i sumienie. Tylko jednej rzeczy nie potrzebuje mieć — mhm, serca...

Ksawery przypomniał sobie, że w papierach ojca nie było ani jednego takiego zestawienia, o którym teraz wspominał mecenas. Były przeróżne niepotrzebne świstki, rachunki tapicera z 1925 roku, kwity z opłaconych podatków, potwierdzenia poczty o przyjęciu depesz z przed dziesięciu lat, prospekty jakichś wydawnictw i istotnie, jakieś oferty, jakieś listy. Sądził, przeglądając ten różnobarwny jarmark, że te listy są normalnymi prośbami o pożyczkę, z jakimi ludzie, zapędzeni przez los, mają niekiedy zwyczaj zwracać się do osób, które są uważane za bogate — trochę jak na loterii, z małą nadzieją, z nadzieją na przypadek. Ale rozważania o przypadku stawały się teraz, nieistotne i osobnego sensu nabierał zwykły szkolny zeszyt w kratkę, w którym powklejane były drobne ogłoszenia z gazet w rodzaju „poszukuję pożyczki na świetną lokatę“ lub „kto zechce...“ i t. d. Ksawery pamiętał ojca, liczącego pieniądze: wyjmując portfel, ojciec odwracał się zawsze tyłem lub bokiem, przeliczał pieniądze gdzieś z sobą i chował resztę do portfela. Potem odwracał się znowu, już swobodny i opanowany i wysuwał odliczoną kwotę. Nieraz się jednak zdarzało, że prosił raz jeszcze o podanie mu na chwilę pliku banknotów. Płuł wtedy na brzegi palców i liczył całość sumę raz jeszcze, z nerwowym niepokojem. Potem, uspokojony, ale wciąż jakby z troska-

ny i pełen namysłu, pochylał głowę i przecierał ręką łysinę.

— Boże, jak ja nie lubię brać pieniędzy od twojego męża — mówiła kiedyś dawno Laura do matki. Ksawery był wtedy mały, ale teraz sobie te słowa, dotąd głęboko zagrzebane i niepamiętane, nagle przypomniał. Spojrzył na mecenasa. Goślicki wyplątał przez okno.

III.

W toku narad z mecenasem Goślickim pojawiła się w Warszawie Janka Czerejska i już przez telefon uprzedziła Ksawerego, że tym razem pobyt jej przeciągnie się dłużej. Pojawiła się — tak, istotnie, coś w tym rodzaju. Zawsze zjawiała się na horyzoncie nieoczekiwanie i Ksawery czuł się nieprzygotowany dla niej, dla jej spraw, raptownych, ale nigdy nie postawionych na ostrzu noża. Korzystał z tych luk, które sama zostawiała i tedy się jej wymykał. Byli ze sobą teraz po imieniu z okazji jakiegoś pijaństwa z Rudolfem i z oboma Mokackimi. Pocałowała potem Ksawerego w usta, przy wszystkich Rudolf lekki się uśmiechnął. Alex dopominał się swojej koleżki, ale Janka powiedziała, że teraz jest już szesnasta. „Zapomniałam — tłumaczyła się poważnie — że Rudolf siedzi z nami“. To mogło być nawet podobne do wiary. Kłamała na potęgę lub mówiła najbardziej nagą prawdę, czasami wtedy stawała się aż drażliwa.

— Oświadczyłam Rudolfowi — mówiła przez telefon — że skoro święta tak szczęśliwie przy wódce i przy indykach minęły, mam już tego dość, to znaczy muszę pojechać do dobrego dentysty, aby mi poprawił plomby, czy coś w tym rodzaju. Zresztą, zapewniam cię, że zęby mam zdrowe. Skoro jednak nie przyjechałaś na wielkanoc —

— Dobrze — przerwał — więc na obiedzie w Europie.

Przyszła w chwilę po nim i było mu, mimo wszystko, nieobojętne, że zwraca na siebie uwagę. Co tu dużo mówić, była niemal skończoną pięknością. Błękitny płaszcz, obszyty lisami, długie jasne włosy — sama mówiła, że włosy są w niej jedyną rzeczą naturalną. Reszta jest kwestią przybrania.

— Zaczynam od ciebie, doprawdy, muszę się ciebie poradzić.

— Powiedzmy, że zaczęłaś od krawcowej. Uśmiechnęła się i uderzyła go po rękę rękawiczkami.

— Nie żartuj, to jest dla mnie ważne.

Słuchał, gdy mówiła i zastanawiał się nad swoim stosunkiem do niej. Bezwątpienia, podobna mu się bardzo. Z punktu widzenia kobiecej urody nic jej nie można było zarzucić. Przyszła mu na myśl uwaga Podolskiego — „a czegoż jeszcze można chcieć od kobiety?“ Nie, nie mogła stanowić problemu, starała się już od dawna, aby Ksawerego oświecić, że niepotrzebnie się waha. Wahał się tym głębiej.

— W tym roku będziemy mieć wojnę — powiedział.

— Co mnie to obchodzi, to rzecz Alexa, on jest przecież dyplomata. — Podniosła do góry dwa palce jak dziecko w szkole, które pragnie zwrócić uwagę nauczyciela na siebie. — Mam teraz naprawdę ważne sprawy na głowie. Ale tu, w restauracji, nie chciałabym ich omawiać.

— Jeżeli zechcesz, możemy pojechać do mnie.

— Nie, dziś nie. Na czwartą umówiłam się z Alexem.

— Więc jednak nie tylko ja.

— Oh, niemądry jesteś — odeła usta. — I miałam tego dowody. Na ciebie trudno

jest liczyć. Kobieta, która ciebie kocha, powinna umieć czekać. Ja tego nie potrafię. Może i potrafiłabym, ale nie mogę. Cóż, podobno twój demoniczny brat jest zaręczony?

— Mniej więcej.

— Mniej więcej! Takich rzeczy jak małżeństwo nie robi się mniej więcej. On jest pewnie bardziej od ciebie gotowy do jakiegokolwiek decyzji.

— Mogę ci go przedstawić. Jeśli się mówi, że ludzie miewają vin triste, Konrad ma l'amour difficile. Nigdy nie wie.

— Jesteście obaj zabawni w takim razie — wydała opinię. Mówiła szybko, usta się jej nie zamykały. Zresztą, opowiadała głów nie plotki z sąsiedztwa. — Ksawery łowił je półuchem, o śmierci młodej pani Dennickiej, która zimą wyjechała z balu w sąsiedztwie z trzema panami, zresztą dobrymi znajomymi. Pani Dennicka była jednak pod silną sugestią wina, tamci też nie byli trzeźwi. Mąż o niczym nie wiedział, dopiero nad ranem zaczął szukać żony i wtedy pani domu mu powiedziała, że Dennicka wyjechała autem zaraz po północy. Musisz sobie wyobrazić, że Dennicka się otruła, zaraz nazajutrz, a byli dopiero pół roku po ślubie. Jeżeli Dennicki nie oszaleje — będzie istny cud. Naturalnie, wina jest po stronie tej pani, która potem tak dokładnych informacji udzieliła Dennickiemu. Odpowiada się przecież za takie rzeczy — mówiła poważnie Janka. Ale i tamci — bestie. Przecież Dennicka nie zdawała sobie sprawy, co się dookoła niej dzieje.

— Ładnie się bawicie! — zauważył Ksawery.

— Ach, nie bądź świętoszkiem, Alex mi opowiadał, jakie orgie wyprawialiście w Jadowicach!

— W Jadowicach? Kobieto, co mówisz. Byłem tam ze trzy razy i nigdy nie było żadnych orgii.

Pogroziła mu palcem.

— No, no! A to przebieganie dziewcząt ze służby w stroje greczynek i twoje wyciski po podłodze z Julianem na czworakach.

— Janka, słowo daję, że Alex igał. Sami się zresztą umawialiśmy, że on tak naopowiadają, żeby ciebie zaintrygować.

— Nie wiem zresztą, lecz do Mokackich to jest podobne. Oni są — brr!

— Aha — przymrużył oko. Było zabawne, owe stroje greczynek wydawały się Jance szczytem rozpasania i nieprzyzwoitości. I to w niej było wprost jedyne, przy całym swoim języku, nieraz tak ciekawie wysuwającym się, gdy weszła coś zakazanego, nie była zepsuta. Ani odrobiny pornografii i nic z wyrafinowania.

— Muszę już iść — spojrzała na zegarek.

Gdy przechodzili przez jezdnię na Krakowskim Przedmieściu, zobaczył w tłumie z daleka czapeczkę Krystyny. Pożegnał się natychmiast z Czerejską i pogonił za szkocką czapeczką. Ale Krystyna zniknęła w tłumie i zły na siebie zatrzymał się przy Miodowej na przystanku, aby wrócić w stronę Nowego Świata. Istotne zrzęczenie — na przystanku stała Krystyna. Podszedł do niej z wyciągniętą dłoń.

— A, to pan!

— Gonię panią niemal od Królewskiej. Może wstąpimy coś zjeść?

— Dziękuję. Jestem po obiedzie, właśnie obtarłem usta.

— Kiedy, gdzie? — zdziwił się. — Przed chwilą mi pani zniknęła z oczu.

Zaśmiała się.

— Kawa i dwa ciastka, rozumie pan, bardzo szybko. To istotnie nie trwało długo.

— Szalona z pani młoda osoba.

— Idzie mój tramwaj. Pojedzie pan z mną?

Wskoczył za nią na pomost, niemal już w biegu. Jechała na Wole, do świetlicy i pozwałała, aby Ksawery, jeżeli chce, ją odprowadził. Powiedział, że przede wszystkim chciałby ją zaprosić na dobry obiad, aby ją nauczył jedzenia prawdziwych obiadów.

— Ja czasami jadam obiady — powiedział.

C. d. n.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie maszyn Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

O NADYMANIU SIĘ SŁÓW KILKORO

Zaczepny ton recenzji Marka Ant. Wasilewskiego (który podjął się, jak sam stwierdza, nie być jakiegoś trudu, bo nie tylko przeczytał, ale napisał o niej swe uwagi w n-rze 159 „Słowa Powsz.”) — zmusza mnie do

zabrania głosu w tej sprawie. Oczywiście świadom jestem prawdy, że wystąpienie autora nie zda się na nic, jeżeli sama książka jest bezsilna wobec ciosów na nią spadających. Autorskie wyrzucenia mogą coś wyjaśnić, dopowiedzieć, ale istoty rzeczy nie zmieniają. W tym wypadku chodzi raczej o ton recenzji i obrazliwe porównania, które rażą nawet

nie zainteresowanego bliżej czytelnika.

W pierwszym ataku oberwali cieżgi inni recenzenci mej książki, a mianowicie Zofia Starowiejska-Morstinowa („Tyg. Powsz.”) oraz Zygmunt Lichniak („Dziś i Jutro”), którzy ośmielili się „błogosławić” mej pracy literackiej. Tym nierozważnym czynem doprowadzili bowiem do gorszącego widowiska o przewidzianych przez M. A. W. skutkach. Widowisko to określa recenzent „Słowa Powsz.” bardzo sroście, wykazując tym samym oryginalny gust i chrześcijańską troskliwość o dobro bliźniego. Tego bliźniego, który popełnił ciężki grzech pisząc powieść bez akcji, powieść nie podobną do innych powieści np. „Robinsona Cruzoe”, a natomiast podobną do „Murów Jerycha”, czyli po prostu — „Leżąc krzyżem”. Nie koniec na tym, bo teraz według prawa serii idą inne grzechy z pychą na

czele. Czytamy bowiem: „I autor przeczyta te recenzje (to jest Z. S. Morstinowej, Z. Lichniaka), a nadmienie się i będzie ciągnął dalej wiejską sagę... „Tu muszę wyrazić ubolewanie pani Morstinowej i panu Lichniakowi za ich mimowolny współdziałanie w moim grzechu głównym, a zarazem pragnę ich uspokoić zapewnieniem, że tej sceny nie było. Dlaczego? Po prostu już wyrosłem z owych lat „nadmymania się”. Niestety! Toteż zbyt uprzejme słowa moich krytyków z „Tyg. Powsz.” i „Dziś i Jutro” wywołały wręcz odmienną reakcję od tej, jakiej się spodziewa recenzent „Słowa Powsz.”.

Z kolei muszę wyrazić zdziwienie, co skłoniło p. M. A. Wasilewskiego, lubującego się w książkach z fabułą, do czytania „Leżąc krzyżem”, jeśli cytowany przez niego Z. Lichniak wyraźnie ostrzega, że „książka nie dla wszystkich stanowić będzie przeżycie. Tym, którzy szukają fascynująco-sensacyjnej fabuły nie da nic”. To samo mówi Morstinowa, to samo Stan. Czernik („Il. Kurier Polski” nr 153). Według Czernika „bohaterem powieści jest tylko szare życie wioski, w codziennych zwyczajnych troskach, pracach, załagach rodzinnych, obyczajowości itd.”. Zaraz dodaje, że „zadanie bardzo trudne dla pisarza i niewdzięczne” i że „trzeba posiadać nie tyle jaką sztukę opowiadawczą, by z narracją o szarym życiu uczynić rzecz ciekawą dla czytelnika”. Według Czernika autor „Leżąc krzyżem” sprostował zadaniu. Pisze on: „Otrzymujemy materiał powieściowy z pierwszych ręki, podany interesująco, strawny dla czytelnika, nie wywołujący znudzenia a pobudzający refleksję”. To samo Morstinowa: „Bo choć nie porywa nas uroczona fabuła, wciąga nas życie opisywanej wsi”. Ba, sam M. A. Wasilewski raczej stwierdza, że od połowy książki zaczyna nawet interesować. Że jest tam szereg świetnych obrazów (obrazów czy fotografii?). Dziwno, że tak krytyka go ci recenzenci, którym się podoba książka nie od połowy, ale w całości. A jeszcze dziwniejsze zadanie, aby każda książka posiadała sensacyjną fabułę. Przecież wśród czytelników są różne upodobania. Aby p. M. A. Wasilewskiego więcej zmartwić, przypomnę mu, oprócz wspomnianej już recenzji St. Czernika — sprostowania pewnego działacza ludowego, poczynione w wiejskich czytelnikach — a wyrażone w artykule „Co wiesz czyta i dlaczego” („Dziennik Literacki” nr 18 z 2 maja 1949). Oto pisze ów działacz, że z książek o tematyce wiejskiej może cieszyć się na wsi największą publiczność. Jest to zapewne przesada, niemniej nakłada na pisarza poważne obowiązki i zmusza do tym czujniejszej kontroli warsztatu swej pracy. Mówić o „nadymaniu się” byłoby więc nieśmiało.

O tym jak różne może być odżywianie książki, świadczy najlepiej recenzja w „Słowie Powsz.”. M. A. Wasilewski buntuje się jedynie przeciw temu, dlaczego autor na

300 stronach nie rozwinął żadnej fabuły, gdy inni buntują się przeciw tej rzeczywistości, której obrazem jest „Leżąc krzyżem”. Książka ta według Z. Lichniaka oskarża i prowokuje do przemyśleń. W „Przeglądzie Powsz.” nr 4 pisze: „Ludzie spod nie-dzi” i „Leżąc krzyżem” przedstawiają w ciekawy i bolesnie sugestywny sposób problematykę wsi polskiej. Ujmują tę problematykę z punktu widzenia, który umożliwia syntetyzowanie zagadnień społecznych, politycznych, gospodarczych, kulturalnych a nawet moralnych”. Niestety, innych czytelników przesłania jedynie brak fabuły, brak — wyraźnie postawionych zagadnień. Wtem są krytycy, którzy „fopatologię” stawiają od formy i treści. Ze gdy nie ma czarno na białym — to tylko: „drobny realizm”. Ja jednak o czytelniku mam dużo lepsze wyobrażenie. Wierzę, że spotkam niejednego czytelnika, który mi powie, iż właśnie z „Leżąc krzyżem” dowiedział się, co na wsi zmieniło należy i że on tym chętniej zabiera się do dzieła na swoim odcinku pracy, bez względu kim jest; nauczycielem, spółdzielcą, lekarzem, pisarzem, księdzem, starostą czy kierownikiem Ośrodka Maszynowego.

Przyznaję, moja książka nie nadaje się do szybkiego czytania. Tymczasem M. A. Wasilewski spieszył się, stąd jego rozdrażnienie, stąd niesłuszny zarzut logicznego potknięcia. Przytoczony przykład: „Bo Kaśka tymi niemrawymi oczami o wiele więcej widzi i słyszy, niżby się zdawało” — nie świadczy o logicznym potknięciu. Jak z całej sceny wynika, owa służąca była głuchoniema. Wszelkie wrażenia odbierała oczami, a zatem oczy zastępowały jej w pewnym sensie i słuch. Po wyrazie ust poznawała treść podana głosem. Gdy jednak owa treść swego chlebodawcy nie bardzo jej odpowiadała, wówczas starała się nie rozumieć, nie „słyszeć”. Ale z tego przywileju czasem korzystała także zdrowi ludzie.

Władysław Dunarowski

Do red. „Dziś i Jutro”

W „Słowie Powszechnym” nr 133 str. 6 niejaki „j.n.d.” nazywa J. I. Krauszewskiego **partaczem literackim**. Ubrzejmie zapytuję od kiedy ta nazwa przysługuje naszemu wielkiemu (bo naprawdę nielt nie odmów jego twórczości pewnej wielkości, oczywiście nie wielkości partactwa, jak by może odpowiedział „j.n.d.”) powieściopisarzowi twórcy powieści polskiej historycznej? O ile wiem księgarńca Arcta wystąpiła przed wojną z projektem postawienia pomnika Krauszewskiemu i wówczas nie spotkało się to z żadnym sprzeciwem. Czyby „j.n.d.” w imię postępcy uważał za stosowne potępić w czambuł całą literaturę 19 wieku — wówczas biada i Mickiewiczowi — szkoda w ogóle, że pisał! Przypuszczam, że za 50 lat dzisiejszy laureat p. Staff, czy dawniejszy jak Wyspiański, Kasprzowicz dla p. „j.n.d.” i jemu podobnych mogą również stać się partaczami! Bądźmy zatem ostrożni w uwiecznianiu nam współczesnych, bo może...

Proszę przyjąć wyrazy poważania

Izydor Glinowiecki

Szczenięta

(Dokończenie ze strony 4-ej)

— Myśmy to musieli zrobić, mam — powiedział łagodnie. Czekaj pauzę, jakby nabierał oddechu. — Oni go tam będą leczyli, on wyzdrowieje...

Znowu zawiesił głos, ale po krótkiej przerwie ogarnęło go nagłe zmieciwienie:

— Przecież to nie mogło tak trwać! My byśmy wszyscy przy nim oszaleli!

Barbara ciągle wycierała oczy, pochylała się na skrzyni, jej siwe włosy dotykały w łkaniu niemal samych kolan. Wtedy Konrad zdobył się na wielki wylew uczucia. Podał jej szybko do matki i ogarniając te stare ramiona czułym uściskiem, pocałował jej mokry policzek. Gładził siwe, rozchwiane włosy, potem wymówił z najtkliwszym akcentem:

— Moja biedna mama... Nie płacz, proszę cię, nie płacz. My wszyscy kochamy cię!...

Kazimierz Zenoa Skierski.

Wędrowniki po scenach polskich

Stała się rzecz bardzo śmieszna. Zekochany Erasmus (patrz „Dziś i Jutro” nr 25) zamiast pisać do swojej Krystyny listy o maju i gaju, uparł się nastąpić mi na odcisk. „Dokonałemu krytykowi... udzielił „najgorszej nagany”. Pierwszej części powyższego zdania nie przyjmuję, bo:

1. nie polega ona na prawdzie (nikt z nas nie jest doskonałym),
2. nie wierzę w szczerą intencję.

O drugiej części wypadnie nieco pogadać.

Zarzut Erasmusa dotyczy mojej recenzji z „Dziś i Jutro” (Dz. i J. nr 15) i artykułu pt. „Bronie Tadeusza Hołuj” (Dz. i J. nr 23). Zarzuty sformułowane są następująco: „W recenzji nie podał (tzn. ja — p. o.) ani treści sztuki, ani całości, ani problematyki — a dalej „i znowu nie podając ani treści sztuki ani szczegółowych zarzutów, ani treści odpowiedzi, bierze Hołuj” w obronę”. Konkluzja prosta: „Autor był obowiązany wszystkie te elementy czytelnikowi streszczyć”.

Patrzę się na te uwagi Erasmusa i myślę: na dobrą sprawę, można by się uprzeć i odpowiedzieć, że żaden z zarzutów nie polega na prawdzie, bowiem dałoby się udowodnić, że treść sztuki była podana, że te elementy wypowiedzi dyskusyjnych, z którymi polemizowałem, również były cytowane. Ale niech tam. Założmy, że Erasmus w pierwszym zarzucie ma rację. Nie streszcilem sztuki.

Czy miałem taki obowiązek? Czy krytyk teatralny jest uczniem, stale odpowiadającym na pytanie nauczyciela: co widzisz na tym obrazku?

Recenzje swoje piszę dla dwu grup ludzi: dla tych, którzy widzieli omawianą sztukę i dla tych, którzy ją zobaczą. W obu wypadkach „streszczenie” nie jest potrzebne. W stosunku do tych ludzi moim obowiązkiem jest tylko wykazać te momenty, które uważam za najistotniejsze w sensie dodatnim lub ujemnym. Pozostaje trzecia grupa — ci, którzy ani byli ani będą. Podzielić ją trzeba na dwie podgrupy: ci, co nie będą oglądać, bo: a) nie chcą i b) nie mogą. Podgrupa pierwsza do kosza, drugiej... nie niestety poradzić nie mogę poza przesłaniem wyrazów szczerzego żalu. Nie wierzę w teorię namiastek! Najlepsza recenzja nie wystarczy za obecność

na sztuce. Kwitując nagany na tym odcinku, odsyłam Erasmusa do jednego z numerów „Expressu”, w którym Wiech krótko i dosadnie „streszczył” Otella językiem p. Walerego Wątróbki. Do Łodzi już jeździć na spektakl nie trzeba.

Dругi zarzut jest nieporozumieniem. Bronie Hołuj przed barbarzyńską napaścią jakiegoś pseudonima, który wołał: zburzyć „Dom pod Oświęcimiem” i przed Jerzym Borejszą, który podzielił sobie Tadeusza Hołuj na dwie osoby.

Bronień autor a nie sztukę. O „Dz. i J.” wspominałem przy okazji. Wydało mi się, że oba tematy, które chciałem poruszyć, oświetliłem wystarczająco jasno. Nie interesowały mnie inne głosy dyskusyjne, mówiące o innych zagadnieniach. Tego Erasmusa nie polaj, mało tego, uważa on, że czytelnicy „Dziś i Jutro” nie chodzą do teatru i nie czytują innych pism.

Dlaczego wszyscy piszący uparli się uważać społeczeństwo za stado baranów. Tak źle naprawdę nie jest. Sciany teatrów pękają od natłoku (czasami sztucznego — to prawda) — na spektakle zleźdżała ludziska z prowincji gromadnie, a nasze pisma literackie mają nakłady nie notowane przed wojną, choć wówczas większą miłośnicy literatury mieszkali.

Wierzę w czytelników „Dziś i Jutro”. Moje recenzje mogą uškodzić w ich oczach za mylne, za źle napisane — nie przypuszczam jednak, by były niezrozumiałe. Najbardziej się uśmiełem z przedstawionego mi do naśladowania wzoru. Szkoda, że obok nie podano nazwiska Magdaleny Samozwaniec.

A teraz, aby zrobić Erasmusowi jednak jakąś przyłemu, opowiem mu treść sztuki: Zapolskiej pt. „Mężczyzna”.

Był sobie typek, który się ożenił. Typek traktował żonę tak jak laskę: okazała się za krótka? — trzeba zmienić. Wziął drugą — za długą? — no, to zmienić. Wyciągnął rękę po trzecią — i wreszcie dostał po palcach. Oczywiście te nieskomplikowane sytuacje gmatwa Zapolska tzw. „życiowymi” historiami. No i przeciwnie nierozzerwalności małżeństwa zacierają ręce z uciechy: „Mężczyzna” nie był znowu tak bardzo winien.

Cóż miał począć, gdy się okazało, że Nina (dla wiadomości Erasmusa: pierwsza żona Karola, a Karol to właśnie „Mężczyzna”) nie odpowiada mu na dłuższą miętę? Bidulek. Sirotka. Tak zwany „realizm życiowy” jest tu świetną maseczką dla tego, by i panna mogła zaisić w ciąży (ubiera się ją za to w aureole jakiegoś szlachetnego męczeństwa) i by usprawiedliwić nawet Julkę (starsza siostra owej panny prosi p. Erasmusa), że Julkę, którą uważa się za ideal (tak dalece, że każe się jej być socjalistką). Cóż bowiem robi Julka? Oto patrzy spokojnie i cierpliwie na to, jak jej młodsza siostra-gęś flirtuje z żonatym mężczyzną, jak go sprowadza do swego domu, jak go wpuszcza do swego łóżka, jak zostaje jego służącą, a kiedy ta „biada i nieszczęśliwa ofiara losu” prosi ją o jakąś radę, odpowiada: nie ci radzić nie będę.

Nie wiem czy p. Erasmus życzy sobie bym podejmował polemikę z atmosferą tego domu i tej sztuki? Nie mam na to ochoty. Mogę tylko cieszyć się z tego, że sztukę wystawiono aż na Szwedzkiej, że na widowni zastałem ledwie z 50 osób, a martwię tym, że kilku z tych pięćdziesięciu widzów sztuka się podobała, a najważniejsze tym, że dla tej niepotrzebnie odgrzebanej sztuki Zapolskiej poświęcono czas artystów tej miary co Stepiówna, Kowalewska i Zabczyński. Dłuższy wywód można by przeprowadzić na temat ciężkiej roli artysty, który musi przejść od roli księdza (Zabczyński — ks. Jan w „Rozdrożu”) do... szkoda słów na określenie. Nie będę jednak tym zajmował uwagi p. Erasmusa, bo zechce on jeszcze, bym mu opowiedział treść „Rozdroża miłości”.

Mieczysław Markowski

P. S. — Boję się, iż Erasmusowi nie wystarczy moja odpowiedź, że często będę figurował w jego erotykach dedykowanych Krystynie. Ale to już od niego nie zależy, jak twierdziła Ninon de Lenclos (urodziła się w roku 1616. Już jako małe dziecko itd.).

M. M.

*) Teatr „Comoedia” w Warszawie.

Sieci rybackie cienkie i grube
Wore przeciwnożarowe koczne

Fachowa produkcja i wyrobienie w
błędny nam opinie klientów
niezmiennej doskonałości naszych wyrobów

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ko
„IWIS” SP. AKC. GRODZISK MAZ. SPÓŁDZIELCZA 2 7067